

ITALO CALVINO

# WICEHRABIA PRZEPOŁOWIONY

przełożyła Barbara Sieroszevska

Tytuł oryginału włoskiego *IL VISCONTE DIMEZZATO*

## I

Toczyła się wojna z Turkami. Wicehrabia Medardo di Terralba, mój wuj, jechał konno przez czeską równinę dążąc do obozu wojsk chrześcijańskich. Nisko nad ziemią polatywały bociany, ich białe stada pruły mgliste, nieruchome powietrze.

- Skąd tyle bocianów? - zapytał Medardo swego giermka, imieniem Curzio - dokąd one tak lecą?

Mój wuj był tam świeżym przybyszem, dopiero co się zaciągnął, chcąc w ten sposób zjednać sobie pewnych książąt, naszych sąsiadów, zaangażowanych w tę wojnę. Zaopatrzył się w konia i giermka w ostatnim na swej drodze zamku, który jeszcze był w rękach chrześcijańskich, i miał stawić się teraz w kwaterze cesarskiej.

- Lecą na pobojuwiska - odpowiedział ponuro giermek. - Będą nam towarzyszyły przez całą drogę.

Wicehrabia Medardo wiedział, że w tamtych krajach przylot bocianów uważany jest za szczęśliwą wróżbę. Chciał więc okazać, że cieszy się z ich widoku. Mimo woli jednak poczuł się jakoś nieswojo.

- Cóż może zwabiać te ptaki brodzące na pola bitew, Curzio? - zapytał.

- Teraz i one także jedzą ludzkie mięso - odparł giermek - odkąd nieurodzaje wyjałowiły pola, a susza wypięła rzeki. Wszędzie, gdzie leżą trupy, bociany, flamingi i czaple zastąpiły teraz kruki i sępy. Mój wuj był wówczas w okresie pierwszej młodości, a jest to wiek, w którym różnorodne uczucia łączą się często w jeden złożony poryw, nie podzielone jeszcze na dobro i zło; wiek, w którym każde nowe doświadczenie, nawet makabryczne i okrutne, pulsuje gorącym ukochaniem życia,

- A kruki? A sępy? - zapytał. - A inne drapieżne ptaki? Gdzież się podziały? - Pobladł, ale jego oczy iskrzyły się zapałem.

Giermek był czarniawym, wąsatym żołnierzem, który nigdy nie podnosił oczu.

- Najadły się tyle trupów zadżumionych, że same wyginęły od dżumy - i wskazał

kopią na czarną gęstwinę czegoś, co przy uważniejszym spojrzeniu okazało się nie zaroślami, lecz splątaną masą piór i wyschniętych szponiastych łap drapieżców. - Nie wiadomo, który pierwszy skonał, ptak czy człowiek, który z nich się rzucił na drugiego, by go rozszarpać - rzekł Curzio.

Uciekając przed zarazą, która wyniszczała ludność, całe rodziny wędrowały w pola i tam dopadała je śmierć. W stosach szkieletów, zalegających wyjałowioną równinę, znajdowały się zwłoki mężczyzn i kobiet, nagie, zniekształcone guzami i - rzecz w pierwszej chwili niepojęta - opierzone: jak gdyby z ich wychudłych kończyn i żeber wyrosły czarne pióra i skrzydła. Były to ścierwa sępów, pomieszane z ludzkimi szczątkami.

Teren wokół jeźdźców nosił coraz więcej śladów stoczonych tam bitew. Posuwali się coraz wolniej, konie wzbraniały się, wpierały kopytami w ziemię, jeżyły grzywy.

- Co się dzieje z naszymi końmi? - odezwał się Medardo.

- Panie - odrzekł giermek - nic tak nie mierzi koni jak odór ich własnych jelit.

Rzeczywiście, szlak, którym jechali, usiany był końskimi ścierwami; leżały bądź na grzbiecie, z kopytami sterczącymi ku niebu, bądź też na brzuchu, pyskiem zarytym w ziemię.

- Tyle padłych koni w jednym miejscu, Curzio? - zdumiewał się Medardo.

- Kiedy koń czuje, że mu rozdarto brzuch - wyjaśnił giermek - stara się zatrzymać swoje wnętrzności. Jedne kładą się brzuchem na ziemi, inne przewracają się na grzbiet, żeby im jelita nie wypływały. Ale śmierć nie przepuszcza ni jednym, ni drugim.

- Czyżby na tej wojnie ginęły głównie konie?

- Tureckie karabele zdają się specjalnie stworzone do rozpruwania końskich brzuchów. Trochę dalej napatrzy się pan i ludzkich trupów. Najpierw przychodzi to na konie, na jeźdźców potem. Ale otóż i obóz.

Na horyzoncie widać już było stożkowate czuby co wyższych namiotów, sztandary wojsk cesarskich i dymy ognisk.

Pędząc w galopie widzieli, że trupy poległych w ostatniej bitwie zostały zebrane i pogrzebane. Gdziekolwiek tylko można było dostrzec jakąś odrąbaną kończynę, zwłaszcza usiane były te ścierniska uciętymi palcami.

- Co krok to jakiś palec wskazuje nam drogę - odezwał się mój wuj Medardo. - Co to znaczy?

- Niech im Bóg odpuści; żywi ucinają palce poległym, żeby im zrabować pierścienie.

- Kto idzie? - zabrzmiał głos wartownika w kaftanie okrytym pleśnią i porostami, niby kora drzewa od północnej strony.

- Niech żyje święta korona cesarska! - wykrzyknął Curzio.

- I śmierć sułtanowi! - rzucił odzew wartownik. - Ale proszę was, jak staniecie w dowództwie, powiedzcie im tam, żeby nareszcie przysłali mi zmianę, bo zaczynam tu już zapuszczać korzenie!

Konie rwały teraz szybkim cwałem, uciekając przed chmurami much, które bzyząc unosiły się dokoła obozu, nad pagórkami ekskrementów.

- Odchody wielu mężnych wojów - zauważył Curzio - leżą jeszcze na ziemi, choć oni sami są już w niebie - tu przeżegnał się.

Przed wejściem do obozu ciągnął się rząd baldachimów, a rozsiadłe pod nimi tłuste, bogato przystrojone kobiety w długich brokatowych szatach, ale o nagich piersiach, powitały przybyszów okrzykami i sprośnym śmiechem.

- To namioty kurtyzan - rzekł Curzio. - Żadne wojsko nie ma takich urodziwych jak nasze.

Mój wuj jechał dalej, ale wciąż odwracał głowę, przypatrując się tym kobietom.

- Radzę uważać, panie - dodał giermek - są takie brudne i plugawe, że nawet Turcy nie chcą ich w jasyr. Teraz już nie tylko pełno mają wszy, pluskiew i kleszczy, ale nawet skorpiony i drobne jaszczurki na nich się gnieźdzą.

Przejechali przed frontem baterii polowych. Pod wieczór artylerzyści gotowali

sobie zupę z wody i rzepey na spiżowych lufach moździerzy i armat, rozpalonych całodzienną kanonadą.

Nadciągały wozy pełne ziemi, którą artylerzyści przesiewali przez sita.

- Zaczyna już brakować prochu strzelniczego - wyjaśnił Curzio - ale ziemia na pobojowiskach jest nim tak przesycona, że przy dobrych chęciach można z niej łąbiierać coś niecoś do naboów.

Dalej były pomieszczenia kawalerii, gdzie w chmarach much uwijali się weterynarze reperując poharataną skórę czworonogów za pomocą szwów, owijania, plastrów maczanych we wrzącej smole, przy czym wszystko rżało i wierzgało, pacjenci i lekarze.

Dalej na dużej przestrzeni rozlokowana była piechota. Zachodziło słońce, przed każdym namiotem siedzieli żołnierze z bosymi stopami zanurzonymi w cebrzykach z ciepłą wodą. Ponieważ przywykli do niespodziewanych alarmów w dzień czy w nocy, nawet podczas moczenia nóg mieli hełmy na głowach i piki zaciśnięte w rękach.

W wyższych, ozdobnie udrapowanych namiotach oficerowie pudrowali sobie pachy i wachlowali się leniwie koronkowymi wachlarzami.

- Nie robią tego przez zniewieściaość - powiedział Curzio - przeciwnie: chcą przez to okazać, że wśród trudów żołnierskiego życia czują się zupełnie swobodnie.

Wicehrabia di Terralba został niezwłocznie zaproszony przed oblicze cesarza. W swoim namiocie, całym w kobiercach i trofeach, monarcha studiował na mapach plany przyszłych bitew. Stoły zarzucone były mapami, a cesarz wbijał w nie szpilki, biorąc je z poduszcзки, którą trzymał w pogotowiu jeden z marszałków. Mapy były tak gęsto upstrzone szpilkami, że nikt już nie mógł nic zrozumieć i po to, by cośkolwiek odczytać, trzeba było wyjmować szpilki i wbijać je potem na nowo. Chcąc mieć przy tym nieustannym wbijaniu i wyjmowaniu wolne ręce, zarówno cesarz jak marszałkowie trzymali szpilki w ustach i mogli się porozumiewać jedynie za pomocą pomruków.

Na widok młodzieńca składającego przed nim niski ukłon monarcha wydał

pomruk pytający i spiesznie wyjął szpilki z ust.

- Rycerz świeżo przybyły z Italii, Najjaśniejszy Panie - przedstawiono go - wicehrabia di Terralba, potomek jednego z najznakomitszych rodów prowincji Genueńskiej.

- Mianuję go niezwłocznie porucznikiem. Mój wuj zadzwonił ostrogami stając na baczność, a cesarz uczynił ramieniem szeroki, władczy gest, tak że wszystkie mapy zwinęły się same w rulony i jedna po drugiej pospadały na ziemię.

Tej nocy, mimo zmęczenia, Medardo długo nie mógł zasnąć. Przechadzał się tam i na powrót przed swoim namiotem, słyszał nawoływanie wart, rzenie koni i urywane słowa, bełkotane we śnie przez żołnierzy. Patrzył w rozgwieżdżone czeskie niebo i rozmyślał o swoim nowym stopniu wojskowym, o jutrzejszej bitwie, o dalekiej ojczyźnie, o szumie trzciny nad strugami. Ale w sercu jego nie było ani tęsknoty, ani wątpliwości czy bojaźni. Dla niego wszystko było jeszcze całe, zwarte i nie podlegające dyskusji i on sam również był taki. Gdyby mógł przewidzieć straszliwy los, jaki go czekał, kto wie, może i to nawet wydałoby mu się naturalne i nieuniknione, mimo bólu, jakiego musiałby doznać. W ciemności zwracał spojrzenie ku temu punktowi horyzontu, gdzie, jak wiedział, znajdował się obóz nieprzyjacielski, i skrzyżowawszy na piersi ramiona, dłońmi przyciskał barki, z radosnym poczuciem realności rzeczy dalekich i różnorodnych oraz swojej własnej wśród nich obecności. Czuł, jak krew, płynąca w tej okrutnej wojnie tysiącem strumyków, dosięga i jego, i pozwalał jej zraszać swoje stopy, nie doznając przy tym uczucia ani zaciekłości, ani litości.

## II

Bitwa rozpoczęła się punktualnie o godzinie dziesiątej rano. Z wysokości siodła porucznik Medardo obejmował wzrokiem całość hufców chrześcijańskich, gotowych do ataku, i wystawiał twarz na powiewy czeskiego wiatru niosącego woń kurzu, który nasuwała myśl o zapylonym gumnie.

- Nie, proszę się nie oglądać wstecz, panie - wykrzyknął Curzio, który, w randze sierżanta, stał u jego boku. I chcąc usprawiedliwić te zuchwałe słowa, dodał cicho: - Mówią, że to przynosi nieszczęście przed bitwą.

W rzeczywistości obawiał się, żeby wicehrabia nie stracił otuchy, kiedy spostrzeże, że całe wojsko chrześcijańskie to niemal ten jeden jedyny hufiec, a odwody składają się zaledwie z paru oddziałów pośledniej piechoty.

Mój wuj patrzył daleko przed siebie, na chmurę nadciągającą od horyzontu, i myślał: „Ta oto chmura to Turcy, prawdziwi Turcy, a ci tu, obok mnie, to weterani chrześcijaństwa, a ten dźwięk trąby, który właśnie rozbrzmiewa, to hasło do ataku, pierwszego ataku w moim życiu, a ten ryk i wstrząs, i błysk zduszony ziemią, w którą się zarył pocisk, na co z leniwą obojętnością spoglądają weterani i ich konie - to wystrzał armatni, pierwszy nieprzyjacielski wystrzał, jaki oglądałam. Niechby nie nadszedł nigdy dzień, w którym będę musiał sobie powiedzieć: A oto jest ostatni”.

Z dobytą szpadą pędził galopem przez równinę, śledząc wzrokiem sztandar cesarski, który to zniknął, to ukazywał się znowu pośród dymów, podczas gdy pociski chrześcijańskie huczały w powietrzu nad jego głową; a nieprzyjacielskie szczybiły już front chrześcijański, wzbijając snopy rozpryskującej się w powietrzu ziemi. „Zobaczę Turków! - myślał - zobaczę Turków!” Nic tak nie cieszy mężczyzny jak posiadanie wrogów i możliwość przekonania się, czy są właśnie tacy, jakimi ich widział w wyobraźni.

Ujrzał ich, tych Turków. Pędziło ich właśnie ku niemu dwóch, na koniach w

bitewnych czaprakach. Obaj mieli okrągłe tarcze skórzane i kaftany w czarne i szafiranowe pasy. Widział ich turbany, twarze koloru oliwy i wąsy takie same jak u pewnego człowieka w Terralba, zwanego „Michel Turek”. Jeden z dwóch Turków padł trupem, drugiego także ktoś zabił, ale już pędziło mnóstwo innych i wrzała walka na białą broń. Zobaczyć dwóch Turków to ostatecznie to samo, co zobaczyć ich wszystkich. Ci dwaj byli przecież także żołnierzami i wszystko, co mieli na sobie, należało do inwentarza armii. Twarze ich były ogorzałe i zbrzdżone jak twarze chłopów. Co się tyczy oglądania, to można rzec, że już ich Medardo obejrzał. Mógł spokojnie wrócić do nas, do Terralby, i zdążyć na ciągi przepiórek. On jednak został na wojnie dalej. Pędził, uskakując przed ciosami karabel, aż natknął się na Turka zupełnie niziutkiego, pieszego, i zarąbał go. A skoro raz już się przekonał, jak to się robi, popędził szukać następnego, na koniu, i źle uczynił. Bo niebezpieczni byli właśnie ci mali. Wślizgiwali się pod konie i swymi krzywymi szablami rozpruwali im brzuchy. Koń Medarda zatrzymał się na szeroko rozkraczonych nogach.

- Co robisz? - zawołał wicehrabia. Nadjechał Curzio wskazując ręką ku dołowi:

- Proszę spojrzeć tutaj. - Wnętrznosci konia zwisały już do ziemi. Biedne zwierzę popatrzyło w górę, na pana, potem schyliło głowę, jakby chciało szczypać własne jelita niby trawę, ale to był tylko ostatni poryw heroizmu: biedak osunął się na ziemię i skonał. Medardo di Terralba został bez wierzchowca.

- Proszę wziąć mego konia, poruczniku - rzekł Curzio, ale nie zdołał go podać, gdyż sam spadł, przeszyty strzałą turecką, a uwolniony koń uciekł.

- Curzio! - wykrzyknął wicehrabia i pochylił się nad jęczącym na ziemi giermkiem.

- Nie warto troszczyć się o mnie, panie - przemówił giermek. - Spodziewam się, że w lazarecie mają jeszcze grappę. Każdemu rannemu należy się czarka.

Mój wuj Medardo rzucił się w wir walki. Losy bitwy wyglądały niepewnie. W zamęcie wydawało się, że zwyciężają chrześcijanie. W każdym razie przerwali szyki



tureckie i okrążyli niektóre pozycje. Mój wuj razem z innymi rycerzami dotarł do samych baterii nieprzyjacielskich, a Turcy odwracali się w inną stronę, chcąc mieć chrześcijan w zasięgu ognia. Właśnie dwóch tureckich artylerzystów obracało mozolnie armatę na kołach. Powolni w ruchach, brodaci, w długich do ziemi kaftanach, wyglądali na astronomów. Mój wuj powiedział sobie: „Teraz ja na nich wpadnę i skończę z nimi”.

Pełen zapału a niedoświadczony, nie wiedział, że do armat należy się zbliżać tylko z boku albo z tyłu. Rzucił się wprost ku wylotowi lufy, z dobytą szpadą, pewien, że zastraszy tych dwóch astronomów. Ale oni posłali mu pocisk prosto w pierś. Medardo di Terralba wyleciał w powietrze.

Wieczorem, po zaprzestaniu walki, dwa wozy wyjechały na pobojuwisko zbierając ciała chrześcijan. Jeden wóz przeznaczony był dla rannych, drugi dla zabitych. Pierwsze rozpoznanie odbywało się więc od razu, na polu bitwy: „Tego ja zabieram, a tego ty”. Tam gdzie wydawało się, że jest jeszcze coś do uratowania, kładziono ciało na wóz rannych, tam gdzie były już tylko poszarpane strzępy, zbierano je na wóz trupów, by je po chrześcijańsku pochować. A jeśli to, co zostało, nie było już nawet trupem, zostawiano szczątki na żer bocianom. W tamtych właśnie dniach, zważywszy wciąż wzrastające straty, zarządzone, że rannych ma być więcej niż trupów. Zatem i to, co zostało z Medarda, uznano za rannego i złożono na odpowiednim wozie.

Drużyna selekcja następowała w lazarecie. Po każdej bitwie szpital polowy przedstawiał widok jeszcze straszliwszy niż bitwa sama. Na ziemi ciągnęły się długim szeregiem nosze z tymi nieszczęśnikami, a dokoła nich uwijali się lekarze wyrywając sobie nawzajem z rąk cęgi, piły, igły, amputowane kończyny i kłębki sznurka. Trup nie trup, z każdym próbowano wszystkiego, by mu przywrócić życie. Tu piła, tam znów tamowanie krwotoku; żyły wywracano na lewą stronę jak rękawiczki, zeszywano i upychano na miejsce, choć więcej w nich było sznurka niż krwi, ale bądź co bądź dziury były załatane. Kiedy pacjent umarł, wszystko, co miał w dobrym stanie, służyło do sztukowania innych. I tak dalej. Najgorsza sprawa była z jelitami: skoro raz się

wywlokły, nie sposób było zwinąć ich należycie i upakować gdzie trzeba.

Ściągnięto przykrycie i ciało wicehrabiego ukazało się straszliwie okaleczone. Brakowało mu nie tylko ramienia i nogi, ale i to wszystko, co się między nimi powinno znajdować - połowa klatki piersiowej i brzucha - zostało unicestwione wystrzałem armatnim, oddanym z bliska. Z głowy pozostało jedno oko, jedno ucho, jeden policzek, pół nosa, pół ust, pół podbródka i pół czoła; z drugiej połowy nie pozostało ani strzępka. Krótko mówiąc, ocalała jedna połowa, prawa, zresztą w doskonałym stanie, bez jednego draśnięcia poza gigantyczną raną, która oddzielała ją od rozprysniętej zapewne w drobny mak połowy lewej.

Lekarze byli zachwyceni. „Ach, co za piękny przypadek! Jeżeli ranny w międzyczasie nie umrze, można by spróbować uratować mu życie”. I zabrali się do niego z zapalem, podczas gdy niejeden żołnierz z przestrzelonym, dajmy na to, ramieniem umierał, biedaczysko, z upływu krwi. Szyli, przymierzali, smarowali maściami: kto wie, co jeszcze robili. Faktem jest, że nazajutrz mój wuj otworzył swoje jedyne oko i połowę ust, rozdał nozdrze i odetchnął. Silny organizm Terralbów przetrzymał. Medardo żył, przepołowiony.

### III

W czasie gdy mój wuj powrócił do Terralby, miałem siedem czy osiem lat. Stało się to wieczorem, w ciemności; był październik i niebo zaciągnięte chmurami. Tego dnia mieliśmy winobranie i pomiędzy rzędami winorośli widzieliśmy na szarym tle morza przybliżające się żagle statku, na którym powiewała cesarska bandera. W tym czasie, ilekroć zbliżał się jakikolwiek statek, mówiło się: „Otóż i Mastro Medardo powraca” nie dlatego, żebyśmy z niecierpliwością wyczekiwali jego powrotu, ale ot, tak, żeby mieć na co czekać. Tym razem odgadliśmy rzeczywiście, a zupełnej pewności nabraliśmy wieczorem, kiedy młody parobek zwany Fiorifiero, stojąc wysoko w kadzi do wyciskania winogron, zawołał: „Oo, tam!” - Było już prawie zupełnie ciemno i w głębi doliny wyraźnie migąły światełka pochodni, sunące szeregiem wzdłuż stromej górskiej dróżki; a w końcu, kiedy światełka przebyły most, dostrzegliśmy ludzi niosących lektykę. Nie było wątpliwości: to wicehrabia wracał z wojny.

Wiść o tym w mig rozeszła się po dolinach; na dziedzińcu zamkowym tłumnie zgromadzili się domownicy, służba folwarczna, robotnicy pracujący przy winobranii, pasterze, zbrojni. Nie pokazał się tylko ojciec Medarda, stary wicehrabia Aiolfo, mój dziadek, który od dawna już nie schodził nawet na dziedziniec. Znużony sprawami tego świata, zrzekł się przywilejów swego tytułu na rzecz jedyne go syna, nim jeszcze ten wyruszył na wojnę. W ostatnich czasach pasja, jaką zawsze żywił do ptaków, których mnóstwo hodował w zamku, w ogromnej ptaszarni, opanowała starca do tego stopnia, że kazał nawet przenieść do ptaszarni swoje łóżko, zamknął się tam i nie wychodził ani dniem, ani nocą. Jedzenie podawano mu, razem z pokarmem dla ptaków, poprzez pręty klatki, Aiolfo zaś dzielił się wszystkim ze swoimi ulubieńcami. Długie godziny spędzał gładząc grzbiety bażantów czy turkawek w oczekiwaniu na powrót syna z wojny.

Nigdy dotychczas nie widziałem na dziedzińcu naszego zamku tylu osób na raz.

Dawno minęły znane mi tylko ze słyszenia czasy wesołych festynów i lokalnych wojen między sąsiadami. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak bardzo zrujnowane są mury i wieże, jaki błotnisty jest ten dziedziniec, gdzie zwykle karmiliśmy zielskiem kozy i napełniali koryto świniom. Teraz, czekając, wszyscy zebrani rozprawiali o tym, w jakim stanie wicehrabia Medardo powraca do domu; dawno już doszła nas wieść o ciężkich ranach, jakie zadali mu Turcy, nikt jednak nie wiedział dokładnie, czy jest okaleczony, czy chory, czy tylko okryty bliznami; a teraz, na widok lektyki, snuliśmy najgorsze przypuszczenia.

Oto już lektykę postawiono na ziemi i w ciemnym jej wnętrzu mignął błysk oka. Stara piastunka Sebastiana porwała się ku lektyce, ale z ciemności wysunęła się ręka i stanowczym gestem wzbronila jej zbliżenia. Potem zobaczyliśmy, jak ciało w lektyce wykonuje jakieś kanciaste, konwulsyjne ruchy i przed naszymi oczyma Medardo di Terralba zeskoczył na ziemię, wsparty na kuli. Czarna opończa z kapturem okrywała go od głowy aż do ziemi; z prawej strony odrzucona była do tyłu odsłaniając połowę twarzy i postaci, ciasno przywartą do kuli, podczas gdy lewa strona ukryta była w obszernych fałdach płaszcza.

Stał i patrzył na nas, a my tworzyliśmy krąg dokoła niego i nikt nie odzywał się ani słowem. Silniejszy podmuch wiatru przyleciał od morza i nadłamana gałąź drzewa figowego wydała zgrzytliwy jęk. Opończa mego wuja zakołysała się, wiatr wydał ją na kształt żagla i wydało nam się, że przenika na wskroś jego ciało, a raczej, że tego ciała wcale nie ma i płaszcz jest pusty jak całun upiora. Potem, kiedyśmy się uważnie przyrzeli, zobaczyliśmy, że płaszcz przylega doń jak chorągiew do drzewca, a drzewcem tym jest bark, ramię, bok i noga - to wszystko, co wspierało się o kulę; reszta nie istniała.

Kozy przyglądały się wicehrabiemu nieruchomym, pozbawionym wyrazu wzrokiem, każda w innej pozie, ale wszystkie ciasno stłoczone, tak że ich grzbiety tworzyły dziwny rysunek złożony z kątów prostych. Świnie, bystrzejsze i bardziej wrażliwe, uciekły z kwikiem potracając się brzuchami, a wtedy i my także nie

potrafiliśmy już ukryć przerażenia.

- Synu mój! - wykrzyknęła piastunka Sebastiana wznosząc do góry ręce. - Biedactwo!

Mój wuj, przykro dotknięty wrażeniem, jakie na nas wywarł, wysunął naprzód koniec kuli i ruchem obrotowym, jak cyrkiel, ruszył ku drzwiom zamku. Ale na stopniach przed paradnym wejściem siedzieli z podwiniętymi nogami tragarze lektyki, półnagie draby ze złotymi kolczykami w uszach i częściowo ogolonymi głowami, z których zwisał warkoczyk albo pasmo włosów niby ogon. Podnieśli się, a jeden z warkoczykiem, wyglądający na ich przywódcę, powiedział:

- Czekamy na zapłatę, *señor*.

- Ile? - zapytał Medardo i zdawało się, że się przy tym roześmiał.

Człowiek z warkoczykiem odparł:

- *Señor* wie, jaka jest cena za przeniesienie człowieka w lektyce...

Mój wuj wyciągnął z zanadru sakiewkę i rzucił ją, brzęczącą, do stóp tragarza. Ten podniósł ją, zważył na dłoni i zawołał: - Ależ to o wiele mniej od umówionej ceny, *señor!*

Medardo, którego opończę uniósł nowy podmuch, powiedział:

- Połowa.

Minął tragarzy, krótkimi podskokami swojej jedynej stopy przebył schody, wszedł przez szeroko rozwarte drzwi do wnętrza, popchnął kulą jedno i drugie skrzydło, tak że zamknęły się z traskiem, z kolei zatrzaskały małe wycięte w nich drzwiczki i zniknął nam z oczu. Z wnętrza słychać było tylko jeszcze odgłos jego kroków - ciężkie stąpanie nogi na przemian ze stukiem kuli - wzdłuż korytarza wiodącego do skrzydła zamku, gdzie mieściły się prywatne pokoje wicehrabiego, a w końcu trzask drzwi i zgrzyt zasuwanego rygla.

Za kratą ptaszarni ojciec czekał nadejścia syna. Ale Medardo nie zajrzał tam nawet, żeby go powitać: zamknął się w swoich pokojach, sam, nie pokazał się nikomu,

nie odpowiadał nawet na pukanie piastunki Sebastiany, która długo stała pod drzwiami użalając się nad nim.

Stara Sebastiana była rosłą niewiastą czarno ubraną, w czarnej chuście na głowie, o twarzy rumianej i bez jednej zmarszczki, jeśli nie liczyć fałdy pośrodku czoła, zakrywającej niemal oczy; wykarmiła ona swoim mlekiem wszystkie dzieci w rodzinie Terralba, kładła się do łóżka ze wszystkimi dorosłymi mężczyznami tej rodziny, wszystkim zmarłym zamykała oczy. A teraz krążyła tam i na powrót krążgankami, pomiędzy jednym a drugim samotnikiem, i nie wiedziała, w jaki sposób mogłaby im przyjść z pomocą.

Nazajutrz, ponieważ Medardo nadal nie dawał znaku życia, zabraliśmy się znowu do pracy przy winobranii, ale bez zwykłej wesołości; w winnicach nie mówiło się o niczym innym, tylko o jego nieszczęsnym losie, nie dlatego, iżby nam tak bardzo leżał na sercu, ale że temat był kuszący przez swoją tajemniczość. Tylko Sebastiana - piastunka została w zamku, uważnie nasłuchując każdego szmeru.

Stary Aiolfo, jak gdyby przewidując, że syn powróci taki smutny i dziki, zawczasu już przyuczył jednego z najulubieńszych swoich ptaków, dzierzbę-gąsiorka, żeby fruwał aż do skrzydła zamku, gdzie mieściły się pokoje Medarda, wówczas puste, i wchodził przez okienko do środka. Tego ranka starzec otworzył dzierzbie drzwiczki, śledził jej lot aż do okna syna, po czym zajął się karmieniem srok i sikorek naśladując ich świergoty.

Niebawem usłyszał głuchy odgłos przedmiotu ciśniętego z rozmachem o okiennicę. Wychylił się z okna i na gzymsie ujrzał swoją dzierzbę martwą. Starzec podniósł ją ostrożnie i trzymając ptaszka w obu dłoniach zobaczył, że skrzydełko ma wyłamane, tak jak gdyby ktoś usiłował mu je wyrwać, jedna nóżka była odłamana i jak gdyby zmiażdżona palcami, jedno oko wyłupione. Starzec przycisnął dzierzbę do piersi i zapłakał.

Tegoż dnia położył się do łóżka i domownicy patrzący przez pręty ptaszarni

widzieli, że jest z nim bardzo źle. Ale nikt nie mógł tam wejść i pielęgnować go, gdyż zamknął się wewnątrz i klucz schował. Nad jego łóżkiem fruwały ptaki. Odkąd się położył, wszystkie latały bez przerwy, nie przysiadając ani na chwilę i bijąc niespokojnie skrzydłami.

Następnego ranka piastunka zbliżywszy się do prętów klatki zobaczyła, że wicehrabia Aiolfo nie żyje. Wszystkie ptaki obsiadły jego łóżko, niby pień drzewa unoszący się na powierzchni morza.

## IV

Po śmierci ojca Medardo zaczął wychodzić z zamku. Pierwsza spostrzegła to, jak zwykle, Sebastiana, znalazłszy pewnego ranka drzwi otwarte i pokoje puste. Rozesłano służbę po okolicy, aby szukała śladów wicehrabiego. Przebiegając pod gruszą, którą poprzedniego dnia widzieli obwieszoną późnym, niedojrzałym jeszcze owocem, jeden z pacholków wykrzyknął:

- Popatrzcie w górę!

Spojrzeli na gruszki rysujące się wyraźnie na tle szarzejącego nieba i ogarnęło ich przerażenie. Bo ani jeden owoc nie był cały, na ogonkach wisały same tylko połówki przecięte równiutko wzdłuż. Z każdej gruszki pozostała tylko prawa połówka (albo lewa, zależnie skąd się patrzyło, ale wszystkie z tej samej strony). Drugie połowy zniknęły, odcięte czy może odgryzione.

- Wicehrabia przeszedł tędy! - powiedzieli słudzy. - Z pewnością po tylu dniach spędzonych w zamknięciu bez jedzenia, tej nocy poczuł głód i wdrapał się na pierwsze spotkane drzewo, żeby najeść się gruszek.

Trochę dalej szukający spostrzegli na kamieniu połowę żaby, która, dzięki szczególnej właściwości żab, żyła jeszcze i próbowała skakać.

- Jesteśmy na właściwym tropie! - powiedzieli i ruszyli dalej w tym kierunku. Poblądzili trochę, nie zauważywszy w liściach połowy melona, i musieli zawrócić, tropiąc ślady, dopóki go nie odkryli.

Idąc tak, przeszli z pól do lasu, gdzie napotkali grzyb koźlak przecięty na pół, dalej czerwony trujący muchomor i tak dalej i dalej, idąc przez las co krok spotykali grzyby sterczące na połowie nóżki i otwierające połowę kapelusza. Wydawały się przecięte jednym ciosem noża, drugiej połowy nie było widać ani odrobiny. Były to rozmaite grzyby, purchawki, prawdziwe i fałszywe rydze; trujących mniej więcej tyle samo co jadalnych.



Podążając tym obfitym śladem sładzy wyszli na łąkę zwaną „Polaną Mniszek”, gdzie wśród trawy lśnił stawek. Było już jasno i smukła sylwetka stojącego na brzegu stawu Medarda, spowitego w czarną oponczę, odbijała się wyraźnie w wodzie, której powierzchnia usiana była grzybami - białymi, żółtymi czy brunatnymi jak leśna próchnica.

Były to owe połówki grzybów, które on najwidoczniej zabrał z sobą i wysypał do stawu. Na przejrzystej powierzchni wody grzyby wydawały się całe, i wicehrabia wpatrywał się w nie. Sładzy, ukryci po drugiej stronie stawu, nie śmieli się odezwać i także przyglądali się pływającym grzybom, dopóki nie spostrzegli, że są to same dobre grzyby. A te trujące? Jeżeli nie wrzucił ich do stawu, to cóż z nimi zrobił? Sładzy pobiegli z powrotem w las. Nie musieli długo szukać, bo tuż blisko spotkali na ścieżce dziecko z koszykiem. W koszyku leżały połówki grzybów, samych trujących.

Tym dzieckiem byłem ja. Ubiegłej nocy bawiłem się samotnie w pobliżu Polany Mniszek; straszylem samego siebie wyskakując nagle zza drzew, kiedy nagle zobaczyłem wuja kuśtykającego na swojej jedynej nodze po łące, w świetle księżycy, z koszykiem przewieszonym przez ramię.

- *Ciao*, wuju! - zawołałem; po raz pierwszy miałem okazję odezwać się do niego.

Wydawał się bardzo niezadowolony, że mnie widzi. - Poszedłem na grzyby - wyjaśnił mi.

- I nazbierałeś?

- Popatrz - powiedział mój wuj; usiedliśmy obaj na brzegu stawu. Zaczął przebierać grzyby, jedne wrzucał do wody, inne zostawiał w koszyku.

- Masz - powiedział wręczając mi koszyk z przebranymi grzybami. - Usmaż sobie.

Chciałem zapytać, dlaczego w jego koszyku jest każdego grzyba tylko połowa, ale zrozumiałem, że byłoby to niewłaściwe pytanie, więc tylko podziękowałem i oddaliłem się. Właśnie szedłem do domu usmażyć grzyby, kiedy spotkałem tych

parobków i dowiedziałem się, że wszystkie moje grzyby są trujące.

Sebastiana, usłyszawszy całą historię, powiedziała:

- Z Medarda została tylko zła połowa. I cóż to będzie z dzisiejszym sądem?

Tego dnia miał się odbyć sąd nad bandą rozbójników, pochwyconych dnia poprzedniego przez zbrojne straże zamkowe. Rozbójnicy ci mieszkali na naszym terytorium, sądzić ich miał więc wicehrabia. Medardo siedział krzywo na sędziowskim krześle i gryzł paznokiec. Wprowadzono rozbójników zakutych w łańcuchy: hersztem bandy był młody Fiorifiero, ten sam, który deptając winogrona w kadzi pierwszy dostrzegł lektykę. Stawiła się też strona poszkodowana, grupka rycerzy tokańskich, udających się do Prowansji. Kiedy przejeżdżali przez nasze lasy, Fiorifiero ze swoją bandą napadł ich i ograbił. Fiorifiero bronił się mówiąc, że ci rycerze dopuszczali się w naszych lasach kłusownictwa, on więc zatrzymał ich i rozbroił jako kłusowników; zrobił to sam, widząc, że straże zamkowe nie robią tego, co do nich należy. Trzeba tu dodać, że w owych latach napady zbójckie były bardzo częste, a sądy traktowały je pobłaźliwie. Nasze zaś okolice były szczególnie dogodne po temu, by szerzył się tam bandytyzm, i zdarzało się nawet, zwłaszcza w czasach zamętu, że ktoś z naszej rodziny przyłączał się do zbójckiej bandy. Nie mówiąc już o kłusownictwie, które zaliczało się do przestępstw najlżejszych.

Niemniej obawy Sebastiany-piastunki okazały się słuszne. Medardo skazał Fiorifiera i całą jego bandę na powieszenie, jako winnych rozboju. A ponieważ poszkodowani byli ze swej strony winni kłusownictwa, skazał na szubienicę ich także. Na karę zasłużyli również strażnicy, ponieważ wkroczyli tak późno, że nie zdążyli przeszkodzić ani kłusownictwu, ani rabunkowi. Oni więc również dostali wyrok śmierci przez powieszenie.

Ogółem skazanych było około dwudziestu. Ten okrutny wyrok zaskoczył i zabolął nas wszystkich; nie tyle ze względu na szlachciców tokańskich, których nikt z nas nigdy przedtem nie oglądał, ile na rozbójników i straże, jako że wszyscy oni byli

powszechnie lubiani. Mastro Pietrochiodo, stolarz i cieśla, otrzymał rozkaz wzniesienia szubienicy. Był to rzemieślnik poważny i inteligentny, przykładający się do każdej roboty, jaką mu zlecono. Z wielką żalnością, zwłaszcza że pośród skazańców było dwóch jego, krewnych, zmajstrował szubienicę rozgałęzioną na kształt drzewa, której wszystkie powrozy podciągało się za pomocą jednej dźwigni; była to machina tak wielka i wymyślna, że można było na niej powiesić jednym zamachem jeszcze znacznie więcej osób niż ich skazano, z czego skorzystał wicehrabia wieszając na dodatek dziesięć kotów, na przeplatankę - dwóch ludzi, jeden kot. Trupy ludzkie i ścierwa kocie wisały, kołysząc się, przez trzy dni i z początku nikt nie miał serca patrzeć w tę stronę. Ale wkrótce wszyscy zaczęli dostrzegać, jaki w gruncie rzeczy imponujący przedstawiają widok, i nasz pogląd na tę całą sprawę nie był już taki jednolity, a w końcu nawet żalowaliśmy trochę, kiedy przyszło ich pozdejmować i rozmontować całą tę wspaniałą machinę.

## V

Były to dla mnie szczęśliwe czasy. Wciąż buszowałem po lasach z doktorem Trelawney w poszukiwaniu skamieniałych skorup zwierzątek morskich. Doktor Trelawney był Anglikiem: w naszych stronach wylądował z rozbitego okrętu, siedząc okra-kiem na beczce wina bordeaux. Przez całe życie był lekarzem okrętowym i odbywał długie i niebezpieczne podróże, niektóre z nich ze sławnym kapitanem Cookiem, ale nigdy nic na świecie nie widział, przebywał bowiem zawsze pod pokładem, grając w „oczko”. Znalazłszy się, jako rozbitek, u nas, szybko przywykł do wina zwanego „cancarone”, najbardziej cierpkiego i drapiącego spośród naszych miejscowych win; wkrótce nie mógł się już bez niego obejść, tak dalece, że nosił zawsze przy sobie pełną manierkę przewieszoną przez ramię. Został już w Terralbie jako nasz lekarz domowy, ale chorymi nie interesował się ani trochę. Natomiast jego odkrycia naukowe zmuszały go - i mnie z nim razem - do wałęsania się dniem i nocą po polach i lasach. Raz była to choroba świerszczy, trudna do dostrzeżenia, zważywszy że dotykała jednego świerszcza na tysiąc, a i ten jeden nie ponosił z jej przyczyny większego szwanku; nie mniej doktor Trelawney starał się odszukać wszystkich pacjentów i wynaleźć skuteczną metodę leczenia. Potem przerwucił się na szukanie pozostałości z czasów, kiedy nasze ziemie oblane były morzem; chodziliśmy wtedy na poszukiwanie kamyków i krzemieni, które, według twierdzeń doktora, były niegdyś rybami. Ostatnio wielką jego pasją były błędne ogniki. Pragnął wynaleźć sposób chwytania ich i utrwalania; w tym celu spędzaliśmy całe noce na myszkowaniu po naszym cmentarzu czekając, aż nad którąś z porośniętych trawą mogił zajaśnieje nagle światełko; wtedy usiłowaliśmy przywabić je ku nam, pochwyć, nie dając mu zgasnąć, do któregoś z wielu różnych naczyń, jakie wypróbowywaliśmy kolejno; były to worki, flaszki, oplatane gąsiorzy, sagany, cedzaki. Doktor Trelawney urządził sobie mieszkanie w chałupie obok cmentarza, którą niegdyś zajmował grabarz, w tych dawnych czasach rozrzutności,

wojen i epidemii, kiedy do tej funkcji trzymano specjalnego człowieka. Doktor założył tam swoją pracownię z mnóstwem ampulek rozmaitego kształtu do przechowywania ogników, siatek takich jak na ryby - do ich chwytania, alemtaików i tygli, z których pomocą przeprowadzał obserwacje, w jaki sposób z ziemi cmentarnej i trupich miazmatów rodzą się owe blade płomyczki. Ale nie należał do ludzi, którzy umieją skupić się długo na jednym przedmiocie; raptem rzucał wszystko, wychodził i zaczęliśmy razem poszukiwanie jakichś nowych fenomenów natury.

Byłem wolny jak wiatr, jak powietrze, nie miałem bowiem rodziców i nie zaliczałem się ani do kategorii służby, ani panów. Należałem do rodziny Terralba tylko na zasadzie późniejszego uznania, nie nosiłem rodowego nazwiska i nikt właściwie nie miał obowiązku wychowywania mnie. Moja zmarła matka była córką wicehrabiego Aiolfa i starszą siostrą Medarda, ale splamiła honor rodziny uciekwszy z kłusownikiem, który został następnie moim ojcem. Urodziłem się w szałasie kłusownika na porośniętych szuwarem mokradłach pod lasem; wkrótce potem mój ojciec został zabity w bójce, matkę zaś, kiedy pozostała w nędznym szałasie sama, zżarła pelagra. Zabrano mnie wówczas do zamku, gdyż dziadek Aiolfo zlitował się nade mną, i chowałem się odtąd pod opieką Sebastiany-piastunki. Pamiętam, że kiedy Medardo był jeszcze chłopcem, a ja - małym berbeciem, pozwalał mi czasem brać udział w swoich zabawach, jakbyśmy byli sobie równi; później oddalenie rosło wraz z nami, tak że w końcu byłem zdany całkowicie na łaskę służby. W doktorze Trelawney znalazłem towarzysza, jakiego nie miałem nigdy przedtem.

Doktor miał lat sześćdziesiąt, ale był mojego wzrostu; twarz pod trójgraniastym kapeluszem i peruką była zbrudzona jak wyschnięty kasztan; nogi, do pół uda wciśnięte w kamasze, wydawały się nieproporcjonalnie długie, jak nóżki konika polnego, zwłaszcza że chodził bardzo długimi krokami; nosił gołąbkowego koloru frak z czerwonymi ozdobami, a na nim, na ukos przez pierś przewieszoną, manierkę z winem cancarone.

Jego pasja do błędnych ogników zmuszała nas do długich nocnych wypraw na cmentarze pobliskich osiedli, gdzie udawało nam się czasem zobaczyć ogniki, wielkością i barwą przewyższające te z naszego, od dawna opuszczonego cmentarza. Ale biada, jeżeli nasze poczynania zostały dostrzeżone przez tamtejszych chłopów; biorąc nas za świętokradczych rabusiów, ścigała nas kiedyś na odległość paru mil gromada mężczyzn, uzbrojona w noże ogrodnicze i widły.

Teren był skalisty, nierówny, poprzecinany potokami. Obaj z doktorem pędziliśmy co sił, skacząc z głazu na głaz, ale pościg rozwścieczonych chłopów słyszeliśmy coraz bliżej za sobą. W miejscu zwanym „Skokiem szydery” nad głęboką rozpadliną przerzucona była kładka z pni drzewnych. Zamiast wbiec na ten mostek uskoczyliśmy pod nawis skalny tuż nad krawędzią przepaści; zaledwie zdążyliśmy się tam przytaić; pogoń następowała nam na pięty. Ścigający nie spostrzegli nas i krzycząc: „Gdzież u licha podziały się te bękarty?” - wszyscy razem wbiegli na kładkę. Rozległ się trzask, krzyk - i wszystkich pochłonęła przepaść, której dnem rwał bystry potok.

Pierwszym naszym uczuciem była niezmierna ulga, że uniknęliśmy niebezpieczeństwa, ale zaraz potem na nowo ogarnęła nas groza, kiedy ujrzeliśmy, jaki straszliwy los spotkał naszych prześladowców. Ledwie zdobyliśmy się na odwagę, by spojrzeć w ciemną głęb, w której zniknęli. Podniósłszy oczy popatrzyliśmy na szczątki mostku: pnie wydawały się mocne i zdrowe, tylko w samym środku były równo ucięte, jak gdyby je przepiłowano. Trudno byłoby zresztą inaczej sobie wytłumaczyć, jak takie grube pnie mogły się tak nagle załamać.

- Wiem ja, czyja to ręka - powiedział doktor Trelawney, a i ja także od razu to zrozumiałem.

Istotnie, po chwili usłyszeliśmy szybki tętent kopyt i na brzegu wąwozu ukazał się koń z jeźdźcem otulonym z jednej strony w czarną oponczę. Był to wicehrabia Medardo, który z właściwym sobie zimnym trójkątnym uśmiechem spoglądał na rezultat swojego podstępu, może i dla niego samego niespodziewany. Z pewnością chciał zabić

nas dwóch; stało się natomiast tak, że ocalił nam życie. Drżąc patrzeliśmy, jak odjeżdża na swoim chudym koniu, który skakał po skałach, jakby był synem górskiej kozy.

W tym czasie mój wuj krążył po okolicy zawsze konno: siodlarz Pietrochiodo na jego rozkaz zmajstrował mu specjalne siodło, do którego Medardo przytwierdzał się pasami, opierając nogę na jednym strzemieniu, podczas gdy na drugim umocowany był ciężar jako przeciwwaga. Z boku siodła umieszczono uchwyty na szpadę i kulę. Tak więc wicehrabia uganiał konno w kapeluszu z piórami i szerokim rondem, do połowy ukryty pod wiecznie powiewającym płaszczem. Gdziekolwiek zadźwięczały kopyta jego konia, wszyscy uciekali w popłochu gorszym, niż kiedy zbliżał się trędowaty Galateo, kryli się wraz z dziećmi i zwierzętami żałując, że nie mogą schować także roślin, gdyż złośliwość wicehrabiego nie szczędziła nikogo i niczego i mogła w każdej chwili rozpętać się w uczynkach jak najbardziej niezrozumiałych i nieoczekiwanych.

Nie chorował nigdy, nigdy więc nie potrzebował usług doktora Trelawney; gdyby jednak taki wypadek się zdarzył, nie mam pojęcia, w jaki sposób doktor byłby sobie z tym poradził - on, który robił wszystko co było w jego mocy, żeby unikać mego wuja i nawet nie słyszeć, co o nim ludzie mówią. Gdy mu opowiadano o wicehrabim i jego okrucieństwach, doktor Trelawney potrząsał głową i wydymał usta mruczając: „Och, och, och... Cyt, cyt, cyt!”, jak w wypadkach, kiedy się kto przy nim wyrażał nieprzyzwojnie. I chcąc zmienić temat zaczynał opowiadać o podróżach kapitana Cooka. Raz próbowałem zapytać go, jakim, według niego, sposobem mój wuj może być tak bardzo okaleczony, ale Anglik nie umiał mi na to powiedzieć nic poza swym zwykłym: „Och, och, och!... Cyt, cyt, cyt!” Wydawało się, że z punktu widzenia medycyny przypadek mego wuja wcale doktora nie interesuje; zaczynałem podejrzewać, że został lekarzem albo pod naciskiem rodziny, albo zgoła przypadkowo i że wiedza medyczna nic a nic go nie obchodzi. Może swoją karierę lekarza okrętowego zawdzięczał tylko biegłości w grze w oczko, może dlatego tylko różni słynni żeglarze z kapitanem Cookiem na czele dobijali się o niego jako o towarzysza podróży.

Pewnej nocy doktor Trelawney, łowiąc siatką błędne ogniki na naszym starym cmentarzu, nagle ujrzał przed sobą Medarda di Terralba, który pasł swego konia na porośniętych trawą grobach. Doktora spotkanie to bardzo zmieszało i onieśmieliło, ale wicehrabia podszedł do niego i odezwał się swoją bardzo zniekształconą z racji przepoło-wionych ust wymową:

- Połuje pan na ćmy, doktorze?

- Oo, milordzie - wyjąkał cichutko doktor - oo, niezupełnie ćmy, milordzie... Błę-dne ogniki, wie pan? błędne ogniki...

- Aa, błędne ogniki. Ja także nieraz się zastanawiałem nad ich pochodzeniem.

- Od dawna, nie chwaląc się, jest to przedmiotem moich badań, milordzie... - wyznał Trelawney, troszkę ośmielony tym łaskawym tonem.

Medardo wykrzywił w uśmiechu swoją kanciastą połowę twarzy o skórze naciągniętej jak na czaszce.

- Jako uczony zasługuje pan na wszelką pomoc - powiedział. - Szkoda, że ten cmentarz, od dawna opuszczony, nie ma odpowiedniej gleby dla błędnych ogników. Ale obiecuję panu, że zaraz jutro postaram się temu w miarę możliwości zaradzić.

Nazajutrz przypadał dzień ustanowiony na sprawowanie sądów i wicehrabia skazał na śmierć około dziesięciu chłopów za to, że nie dostarczyli do zamku takiej części swoich zbiorów, jaka się według jego obliczeń należała. Straconych pogrzebano we wspólnym dole na cmentarzu i teraz błędne ogniki ukazywały się każdej nocy w obfitości. Doktor Trelawney bardzo był taką formą pomocy przerażony, choć musiał przyznać, że dla jego studiów okazała się bardzo użyteczna.

Te tragiczne okoliczności sprawiły, że mastro Pietrochiodo znacznie udoskonalił swoją sztukę budowy szubienic. Teraz były to już istne arcydzieła ciesiołki i mechaniki - nie same tylko szubienice, ale i kozły, bloki i inne narzędzia tortur, przy pomocy których wicehrabia Medardo wydobywał z oskarżonych zeznania. Przesiadywałem często w warsztacie Pietrochioda, bo lubiłem patrzeć, jak on pracuje, z jaką to czyni



biegłością i zamięłowaniem. A jednak w sercu znakomitego rzemieślnika tkwił zawsze bolesny cierrń. Bo to, co konstruował, służyło kaźni niewinnych ludzi. „Jak by to zrobić, żeby mi dano do roboty coś równie zmyślnego, ale przeznaczonego do innych celów? Jakie mogłyby być nowe mechanizmy, które najchętniej bym budował?” Ale nie mogąc dojść do ładu z tymi myślami, wolał je od siebie odpędzać, całą energię skupiając na upiększaniu i usprawnianiu swoich wynalazków.

- Nie myśl o celu, jakiemu mają służyć - mówił mi nieraz. - Patrz na nie tylko jak na mechanizmy. Prawda, jakie są piękne?

Patrzyłem więc na te konstrukcje z belek, bloków, dźwigów i sznurów i usiłowałem nie widzieć oczyma wyobraźni żałośnie zwisających na nich ciał, ale im bardziej się starałem, tym trudniej mi było o tym nie myśleć, i pytałem Pietrochioda: - Co robić?

- A ja, chłopcze - odpowiadał żałośnie - a cóż dopiero ja?

Ale mimo zmartwień i trwóg czasy te miały i swoją część radości. Najpiękniejsza pora nadchodziła, kiedy słońce stało wysoko, morze było złote, kury po zniesieniu jajek wznosiły tryumfalne pienia, a w uliczkach wsi słyhać było dźwięk rogu trędowatego. Trędowaty chodził co rano zbierając datki dla swoich towarzyszy niedoli. Nazywał się Galateo i nosił zawieszony u szyi róg myśliwski, którego dźwięk ostrzegał z daleka o jego nadejściu. Słyszając głos rogu, kobiety wykładały na murek jajka, kabaczki czy pomidory, czasem małego obdartego ze skóry królika; potem biegly się schować, zabierając z sobą dzieci, bo nikt nie powinien zostawać na dworze, kiedy przechodził trędowaty: trędem zarazić się można z daleka, nawet widzieć trędowatego nie jest bezpiecznie. Poprzedzany przenikliwym głosem rogu, Galateo wędrował powoli opustoszałymi uliczkami z wysokim kosturem w ręku i w długiej do ziemi, podartej opończy. Włosy miał długie, żółtawe, konopiaste, twarz białą i okrągłą, nadzartą już nieco trędem. Zbierał dary, wkładał je do podłużnego kosza zawieszzonego na plecach i wykrzykiwał podziękowania w kierunku domów, w których kryli się ich mieszkańcy;

głos miał przy tym słodki jak miód, a podziękowania okraszał zawsze jakąś zabawną albo złośliwą aluzją.

W owych czasach w osiedlach leżących w pobliżu morza trąd szerzył się bardzo; w naszym sąsiedztwie była nawet wioska, Pratofungo, zamieszkała wyłącznie przez trędowatych; im to właśnie obowiązani byliśmy posyłać dary, które zbierał Galateo. Ilekroć u kogoś, czy to spośród marynarzy, czy z mieszkańców wiosek, wystąpiły objawy trądu, porzucał rodzinę i przyjaciół i wędrował do Pratofungo, by tam dożywać reszty swoich dni czekając, kiedy zeżre go choroba. Chodziły słuchy o radosnych orgiach, jakimi witano tam każdego nowego przybysza; z daleka słychać było do późna w noc muzykę i śpiewy rozlegające się z domów trędowatych.

Dużo rozmaitych rzeczy mówiło się o Pratofungo, choć nikt ze zdrowych nigdy tam wewnątrz nie był; ale w jednym wszystkie te głosy były zgodne: że życie tam było jedną nieustającą hulanką. Wioska, zanim stała się schronieniem trędowatych, była gniazdem prostytutek, do którego ściągali marynarze wszelkich ras i religii, i wyglądało na to, że kobiety nadal zachowały tam rozpustne obyczaje dawnych czasów. Trędowaci nie uprawiali ziemi poza jedną winnicą rodzącą czarne, słodkie jagody, z których wino jak rok długi utrzymywało mieszkańców w stanie lekkiego podochocenia. Zajmowali się oni głównie grą na dziwacznych instrumentach własnego pomysłu - jak na przykład harfy z mnóstwem małych dzwoneczków przyczepionych do strun - śpiewami falsetem i malowaniem jajek na rozmaite kolory, jakby zawsze była Wielkanoc. Tak to poddając się działaniu słodkich tonów, w wieńcach jaśminowych dokoła zniekształconych twarzy, zapominali o zwykłym ludzkim życiu, od którego odcięła ich choroba.

Żaden lekarz w naszych stronach nie chciał nigdy poświęcić się leczeniu trędowatych; kiedy Trelawney osiedlił się wśród nas, niejednen spodziewał się, że zechce on oddać swoją wiedzę sprawie zwalczania tej strasznej plagi naszych okolic. Ja także, na swój dziecinny sposób, żywiłem taką nadzieję: od dawna już miałem wielką ochotę wśliznąć się jakoś do Pratofungo i przyjrzeć się zabawom trędowatych, a gdyby doktor

zdecydował się wypróbować swoje leki na tych nieszczęśliwych, pozwoliby mi może czasem towarzyszyć sobie do wioski. Ale nic takiego nie nastąpiło; na głos rogu Galatea doktor Trelawney zmykał co sił w nogach i zdawało się, że nikt bardziej od niego nie boi się zarazy. Czasami próbowałem wypytywać go, na czym właściwie ta choroba polega, ale on dawał odpowiedzi wymijające i niepewne, jak gdyby samo słowo „trąd” wprawiało go w niepokój.

W gruncie rzeczy nie wiem, dlaczegośmy się wszyscy tak upierali uważać go za lekarza; dla zwierząt, zwłaszcza tych najmniejszych, dla kamieni i zjawisk biologicznych miał wiele życzliwego zainteresowania, ale istoty ludzkie i ich dolegliwości budziły w nim odrazę i lęk. Brzydził się krwią, chorych dotykał najwyżej samymi końcami palców, a w przypadkach poważniejszych zasłaniał sobie nos jedwabną chustką zmaczaną w occie. Wstydlivy jak dziewczątka, czerwienił się na widok nagiego ciała; a już jeśli chodziło o kobietę, spuszczał oczy i jękał coś niezrozumiale; w swoich długich podróżyach za oceany nigdy, zdaje się, nie zetknął się z kobietami. Całe szczęście, że u nas w owych czasach przyjmowaniem na świat dzieci zajmowały się położne, a nie lekarze; inaczej, kto wie, jak on dałby sobie z tym radę.

Mój wuj wpadł na nowy pomysł niszczycielski: wywoływał pożary. Nocą ni stąd, ni zowąd stawała w płomieniach stodoła jakiegoś ubogiego chłopca, sąg drzewa czy nawet cały las. Nieraz do rana pracowało się nad gaszeniem ognia podając z ręki do ręki wiadra z wodą. Ofiarą padali zawsze biedacy, mający jakieś zatargi z wicehrabią w związku z jego coraz bardziej srogimi i krzywdzącymi zarządzeniami czy z daninami, które podwoił. Nie dość mu było podpalać dobytek, porywał się i na domy mieszkalne: zapewne skradał się nocą, rzucał płonąca żagiew na dach i uciekał konno; nikomu jednak nie udało się nigdy schwytać go na gorącym uczynku. Kiedyś spłonęło żywcem dwoje starców; innym razem mały chłopak został z czaszką jak odartą ze skóry. Powszechna nienawiść do mego wuja stale wzrastała. Do jego najzaciętszych wrogów należały pewne rodziny hugenockie zamieszkujące osadę Col Gerbido; mężczyźni trzymali

tam kolejno straż po całych nocach, by na czas udaremnić pożar.

Bez żadnego zrozumiałego powodu podjechał pewnej nocy pod same domy Pratofungo, kryte strzechą, i obrzucił je smołą i płonącymi żagwiami. Trędowaci mają tę szczególną właściwość, że przy oparzeniu nie czują bólu, i gdyby ogień dosięgnął ich we śnie, nigdy by się już zapewne nie obudzili. Ale uciekając galopem margrabia usłyszał dochodzące z wioski tony skrzypiec: mieszkańcy Pratofungo nie spali, pochłonięci jak zwykle zabawą. Wszyscy doznali oparzeń, ale nie czuli bólu i nawet mieli z tego swego rodzaju uciechę. Szybko ugasili ogień, a ich domy, może dlatego, że także zarażone trądem, niewiele ucierpiały wskutek pożaru.

Złość Medarda zwróciła się w końcu i przeciwko własnej majętności, przeciw zamkowi. Pożar wybuchł w skrzydle zamieszkanym przez służbę i szerzył się wśród okropnych krzyków tych, którzy tam zostali odcięci. Wicehrabiego tymczasem widziano odjeżdżającego daleko w pola. Był to zamach na życie jego starej piastunki, matki niemal, Sebastiany. Z uporem, z jakim zazwyczaj kobiety starają się utrzymać władzę nad tymi, których wychowały od dziecka, Sebastiana robiła wicehrabiemu wymówki o każdą popełnioną niegodziwość, nawet wówczas kiedy już wszyscy inni doszli do przekonania, że jego natura nieodwołalnie pogłężyła się w chorobliwym okrucieństwie. Wydobyto Sebastianę z rozplamionych murów w pożałowania godnym stanie i przez wiele dni musiała leżeć w łóżku kurując się z oparzeń.

Pewnego wieczora drzwi pokoju, w którym leżała, otwarły się i wicehrabia zbliżył się do jej łóżka.

- Cóż to za plamy widzę na waszej twarzy, piastunko? - zapytał Medardo wskazując blizny.

- To ślad twoich grzechów, synu - odpowiedziała pogodnie staruszka.

- Wasza skóra jest spękana i przeżarta; cóż to za cierpienie was trapi, piastunko?

- To cierpienie jest niczym, mój synu, w porównaniu z tymi, które czekają ciebie w piekle, jeżeli się nie opamiętasz.

- Trzeba się prędko wykurować. Nie chciałbym, żeby się ludzie zwiedzieli, jaka choroba was dotknęła...

- Nie szukam męża, żeby tak się troskać o urodę. Wystarcza mi czyste sumienie. Obyś ty mógł to samo powiedzieć.

- Alboż nie wiecie, że wasz oblubieniec czeka na was, żeby was zabrać z sobą?

- Nie szydź ze starości, synu, ty, którego młodość tak ciężko została doświadczona.

- Nie żartuję zgoła. Posłuchajcie tylko, piastunko: otóż i wasz narzeczony wygrywa właśnie serenadę pod waszym oknem...

Sebastiana wyteżyła słuch i doszedł ją dźwięk rogu trędowatego.

Nazajutrz Medardo wezwał do siebie doktora Trelawney.

- Podejrzane plamy pojawiły się nie wiadomo skąd na twarzy jednej z naszych starych sług - powiedział. - Wszyscy obawiamy się, czy to nie trąd. Doktorze, zdajemy się na światło pańskiej wiedzy.

Trelawney skłonił się bąkając niepewnie:

- Mój obowiązek, milordzie... zawsze na pańskie rozkazy, milordzie...

Wyszedł w lansadach, czmychnął z zamku zabierając ze sobą baryłkę wina cancarone i zaszył się w lasy. Nie pokazał się przez cały tydzień. Kiedy wrócił, stara piastunka była już odesłana do wioski trędowatych.

Opuściła zamek pewnego wieczora, po zachodzie, czarno ubrana i osłonięta szalem, niosąc pod pachą zawiniątko ze swoim dobytkiem. Wiedziała, że jej los jest już przesądzony: musi odejść do Pratofungo. Kiedy wyszła z pokoju, w którym ją trzymano do tej pory, na korytarzach i schodach nie było żywej duszy. Zeszła na dół, minęła dziedziniec i wyszła poza obręb zamku; wszystko było opustoszałe, za jej zbliżeniem każdy uciekał i krył się. Usłyszała głos myśliwskiego rogu, na dwa tony modulujący cichy zew; daleko przed nią kroczył po ścieżce Galateo dmąc w swój wzniesiony ku niebu instrument. Galateo wyprzedzał ją sporo, ale raz po raz przystawał na chwilę,

jakby chciał przyjrzeć się chrabąszczom, brzęczącym wśród liści, unosił róg i wydobywał z niego żaloszny akord; piastunka przystawała także, patrzyła na sady i łąki, które miała porzucić, czuła przez gęstwinę żywopłotów obecność ludzi, którzy się przed nią kryli - i ruszała w dalszą drogę. Samotnie, podążając z daleka za Galateem, dotarła do Pratofungo; bramy wioski zamknęły się za nią, a jednocześnie zaczęły rozbrzmiewać tony harf i skrzypiec.

Bardzo się zawiodłem na doktorze Trelawney. Nawet palcem nie ruszył, żeby starą Sebastianę uchronić od zamknięcia w leprozorium, wiedząc przecież doskonale, że plamy na jej twarzy nie mają nic wspólnego z trędem - to było nędzne tchórzostwo i po raz pierwszy wtedy poczułem do doktora jakby odrazę. A jeszcze w dodatku, uciekając w lasy, nie wziął mnie z sobą, choć wiedział, że mógłbym mu się bardzo przydać do polowania na wiewiórki i zbierania malin. Teraz wspólne wyprawy na błędne ogniki nie sprawiały mi już takiej przyjemności jak dawniej i często wałęsałem się samotnie w poszukiwaniu jakiegoś nowego towarzystwa.

Najbardziej pociągali mnie hugenoci zamieszkujący Col Gerbido. Ludzie ci uciekli z Francji, gdzie król skazywał na poćwiartowanie każdego, kto wyznawał ich religię. W przeprawie przez góry postradali swoje księgi i przedmioty liturgiczne i teraz nie mieli ani Biblii do czytania, ani tego, co potrzebne do odprawiania mszy, nie mieli z czego śpiewać hymnów i odmawiać modlitw. Nieufni jak wszyscy, którzy doznali prześladowań i żyją pośród ludzi innej wiary, nie szukali żadnych nowych ksiąg nabożnych ani nie chcieli słuchać niczyich rad w sprawach kultu. Jeżeli zjawił się u nich ktoś obcy, mieniając się ich bratem w wierze, bali się zawsze, czy to nie jakiś przebrany szpieg papieski, i zamykali się w milczeniu. Wzięli się do uprawy twardej gleby Col Gerbido i harowali ciężko, mężczyźni i kobiety, wychodząc do roboty przed świtem i kończąc ją po zmroku, w nadziei, że oświeci ich łaska boża. Niezbyt biegli w rozeznaniu, co jest grzechem, a bojąc się zbłądzić, mnożyli" bez końca wszelkie zakazy i śledzili się nawzajem surowo a bacznie, czy nie dostrzegą najlżejszej bodaj oznaki jakiejś

grzesznej intencji. Pamiętając mgliście dysputy prowadzone w ich kościele, powstrzymywali się od wymawiania boskiego imienia i od wszelkich innych religijnych wyrażań w obawie przed popełnieniem bluźnierstwa. W rzeczach kultu nie mieli żadnych reguł, może nawet nie ośmielali się formułować swoich religijnych poglądów, zachowując jednak pełną skupienia powagę, tak jakby bez przerwy o tych rzeczach myśleli. Natomiast reguły ich ciężkiej pracy na roli nabierały z biegiem czasu znaczenia przykazań, podobnie jak nawyki wstrzemięźliwego, surowego życia, do jakiego zmuszała ich bieda, a wreszcie cnoty domowe ich kobiet.

Stanowili wielką rodzinę z mnóstwem synowych i wnuków; wszyscy byli wysocy i żyłaści, a pracowali na roli zawsze świątecznie ubrani - mężczyźni w czarnych zapiętych pod szyję kaftanach, w kapeluszach o szerokich, opuszczonych kresach, kobiety w białych czepcach. Mężczyźni nosili długie brody i nie rozstawali się z przewieszoną przez ramię strzelbą, mówiono jednak, że żaden z nich nigdy nie strzelał, chyba co najwyżej do wróbli, gdyż wzbraniała im tego ich religia. Z wapnistych tarasowatych pól, gdzie z trudem rosła nędzna winorośl i trochę marnego zboża, rozlegał się stale głos starego Ezechiela, który wrzeszczał bez wytchnienia, wznosząc zaciśnięte pięści ku niebu. Jego biała kozia broda dygotała, spod stożkowatego kapelusza toczył dokoła gniewnym wzrokiem.

- Głód i zaraza! Głód i zaraza! - wrzeszczał na krewniaków schylonych nad robotą. - Żwawiej ruszaj motyką, Jonaszu! Rwij zielska, Zuzanno! Tobiaszu, rozrzucaj nawóz! - Wydawał rozkazy i gromił srogim tonem, jak ktoś, kto ma do czynienia z gromadą durniów i wałkoni, a kiedy już wykrzyczał te tysiące rozmaitych czynności, jakie trzeba wykonać, jeśli się nie chce doszczętnie zmarnować roli, rozpędzał wszystkich i sam chwycił się tych robót nie zaprzestając swojego: „Głód i zaraza!”

Jego żona za to nie krzyczała nigdy i w odróżnieniu od innych wydawała się całkowicie pewna swojej tajemnej religii, niewzruszonej nawet w najdrobniejszych szczegółach, ale o której nigdy z nikim nie mówiła. Wystarczało, żeby popatrzyła

surowo wyteżonym wzrokiem i powiedziała przez zaciśnięte wargi: „Czy tak się godzi, siostrzo Rachelo? Czy tak się godzi, bracie Aronie?” - a już uśmiechy gasły, a twarze przybierały wyraz powagi i skupienia.

Zawędrowałem do Col Gerbido pewnego wieczora, kiedy hugenoci modlili się. Nie znaczy to, iżby wymawiali jakieś słowa, na klęczkach czy ze złożonymi dłońmi; stali tylko wyprostowani w winnicy, mężczyźni po jednej stronie, kobiety po drugiej, a w głębi stary Ezechiel z brodą spływającą na pierś. Patrzeli wprost przed siebie, dłonie zaciśnięte w pięści zwisały u końca długich, żyłastych ramion, ale, choć wydawali się tacy skupieni, nie tracili jednak świadomości tego, co ich otacza: Tobiasz wyciągnąwszy rękę zdjął z pędu winnego gąsienicę, Rachela podkutym butem zmiażdżyła ślimaka, nawet sam Ezechiel ściągnął gwałtownie kapelusz, żeby przepłoszyć wróble z zasiewów.

Potem zaintonowali psalm. Nie pamiętali już jego słów, tylko samą melodię, a i to nie całkiem dobrze - czasem ktoś pośpiewał fałszywie, a może wszyscy i zawsze fałszowali, ale śpiewali i śpiewali bez końca, kiedy skończyli jedną strofę, zaczęli następną, wciąż bez słów.

Poczułem, że ktoś mnie ciągnie za ramię: to mały Ezaw dawał mi znaki, żebym po cichutku z nim poszedł. Ezaw był w moim wieku - najmłodszy syn starego Ezechiela. Miał taki sam jak oni wszyscy twardy, napięty wyraz twarzy, ale z błyskiem łobuzerskiego sprytu w oczach. Kiedy wyczołgaliśmy się ostrożnie z winnicy, powiedział mi:

- To potrwa dobre pół godziny; co za piła! Choć zobaczyć moją norę.

Norę swoją trzymał Ezaw w tajemnicy. Chował się tam przed rodzicami, żeby go nie posłano paść kozy albo tępić ślimaki w warzywnikach. Spędzał tam całe dni na próżniactwie podczas gdy ojciec szukał go, grzmiąc, po okolicy.

Ezaw dał mi cygaro i domagał się, żebym je zapalił. Sam zapalił także i wypuszczał kłęby dymu z niewiarygodną zajadłością. Ja paliłem po raz pierwszy: zaraz



też zrobiło mi się niedobrze i zwymiotowałem. By mnie pokrzepić, Ezaw wydobył flaszkę grappy i nalał mi kubek, a ja po wypiciu rozkaszałem się tak, jakby mi ktoś szarpał wnętrzności. On natomiast pił grappę jak wodę.

- Niemało trzeba, żebym się upił - powiedział.

- Skąd masz to wszystko, co tu trzymasz w norze? - zapytałem go.

Ezaw uczynił palcami ruch naśladujący czołganie.

- Kradzione.

Stał na czele bandy chłopaków, katolików, którzy grasowali po okolicy, kradnąc nie tylko owoce z sadów, ale także to i owo z domów i kurników. A przeklinali częściej i gorzej nawet aż mastro Pietrochiodo: znali wszystkie przekleństwa, katolickie i huge-nockie i pożyczali je sobie nawzajem.

- Ale popełniam jeszcze różne inne grzechy - pochwalił się - daję fałszywe świadectwo, zapominam podlewać fasolę, nie czczę ojca i matki, wracam późno do domu. Teraz chcę wypróbować wszystkie grzechy, jakie tylko są; także i te, o których powiadają, że jestem jeszcze za mały, żeby je rozumieć.

- Wszystkie grzechy? - zapytałem. - Zabijać także?

Wzruszył ramionami.

- Zabijać nie mam teraz ochoty i nic mi po tym.

- Mój wuj zabija i każe zabijać dla samej przyjemności, tak mówią - wtrąciłem, chcąc także czymś się pochwalić.

Ezaw splunął.

- Przyjemność głupiego - oświadczył. Tymczasem zagrzmiało i zaczął padać deszcz.

- W domu pewno cię szukają - powiedziałem do Ezawa. Mnie nigdy nikt nie szukał, ale wiedziałem, że innych dzieci zawsze

rodzice szukają, zwłaszcza w niepogodę, myślałem więc, że to coś ważnego.

- Poczekajmy, aż przestanie padać - rzekł Ezaw - tymczasem możemy zagrać w

kości.

Wyciągnął skądś kości i stos pieniędzy. Ja pieniędzy nie miałem, grałem więc na gwizdki, noże i przegrałem wszystko.

- Nie przejmuj się - pocieszył mnie wreszcie Ezaw - rozumiesz: ja oszukuję.

Na dworze błyskało, waliły pioruny, lało jak z cebra. Jaskinia Ezawa zaczęła podmakać. Umieścił w bezpiecznym miejscu cygara i inne swoje skarby i powiedział: - Będzie lało całą noc; trzeba stąd lecieć i schować się w domu.

Dobiegliśmy do domu starego Ezechiela przemoczeni i uszargani. Hugenoci siedzieli wokół stołu, przy świetle kaganka, i usiłowali przypomnieć sobie jakieś epizody z Biblii; opowiadali je sobie jak historie, które kiedyś, dawno, czytali, ale nie są już pewni ani ich brzmienia, ani sensu.

- Głód i zaraza! - ryknął Ezechiel, kiedy jego syn ukazał się ze mną w drzwiach. Walnął przy tym pięścią w stół tak mocno, że kaganek zgasł.

Dzwoniłem zębami z przerażenia, ale Ezaw wzruszył ramionami. Na dworze wyglądało jakby wszystkie grzmoty i pioruny zwały się na Col Gerbido. Podczas gdy zapalano zagasty kaganek, stary, uniósłszy w górę pięści, wyliczał wszystkie grzechy swego syna jako najohydniejsze, jakie ludzka istota mogła w ogóle popełnić; a przecież znał ich tylko nieznaczną część. Matka potakiwała milcząco, a wszyscy pozostali synowie, córki, zięciowie, synowe i wnuki słuchali z nisko opuszczoną głową i twarzą ukrytą w dłoniach. Tylko Ezaw gryzł spokojnie jabłko, jak gdyby kazanie wcale nie jego dotyczyło. Co do mnie, to huk piorunów i grzmiący głos Ezechiela sprawiły, że drżałem jak trzcina. Reprimendę przerwało wejście mężczyzn pełniących straż na dworze. Mimo worków, zarzuconych na głowy, byli przemoczeni do nitki. Hugenoci trzymali kolejno warty po całych nocach, uzbrojeni w strzelby, noże i widły od siana, żeby ustrzec wioskę przed groźnymi najściami wicehrabiego, teraz już ich jawnego wroga.

- Ojcze! Ezechielu! - powiedzieli. - Noc taka, że psa nie wygnąć. Napewno Kulawiec nie przyjdzie. Możemy wracać do domu, ojcze?

- Nie widać żadnych śladów Bezrękiego? - zapytał Ezechiel.

- Nie, ojciec, jeżeli nie liczyć smrodu spalenizny, jaki pozostawiają pioruny. To nie jest noc dla Jednookiego.

- No, to zostańcie w domu i zmieńcie odzież. Niechby ta burza przyniosła spokój Bezbokiemu i nam.

Kulawiec, Jednoręki, Jednooki, Bezboki - wszystko to były przezwiska, którymi hugenoci określali mego wuja; nigdy nie słyszałem, żeby nazywali go jego prawdziwym imieniem. Mówiąc o nim rozmyślnie przybierali ton jakiejś szczególnej poufności, jak gdyby bardzo dużo o nim wiedzieli, nieomal jakby był ich odwiecznym wrogiem. Rzucali urywane zdania z przymrużeniem oka lub krótkim śmieszkiem:

- He, he, Jednoręki... Właśnie, właśnie, Pół Głuchy... - jak gdyby wszystkie nieopięte szaleństwa Medarda były dla nich jasne i łatwe do przewidzenia.

Tak sobie gawędzili, kiedy pośród odgłosów nawałnicy dało się słyszeć stukanie pięścią w drzwi.

- Któż to do nas puka w taki czas? - rzekł Ezechiel. - Szybko, niechaj mu będzie otworzone.

Otwarto drzwi. W progu stał wicehrabia, sztywno wyprostowany na swej jedynej nodze, w czarnym ociekającym wodą płaszczu i kapeluszu z piórami, przemiękłym od deszczu.

- Uwiązałem swego konia w waszej stajni - powiedział. - Udzielcie, proszę, gościny i mnie. To niedobra noc dla wędrowca.

Wszyscy popatrzyli na Ezechiela. Ja schowałem się pod stół, żeby mój wuj nie dowiedział się, że odwiedzam dom wrogów.

- Siadajcie przy ogniu, panie - rzekł Ezechiel. - Gość w tym domu jest zawsze życzliwie witany.

Koło drzwi leżał stos płacht do rozpościerania pod drzewami podczas zbioru oliwek; Medardo wyciągnął się na nich i zasnął.

W ciemności hugenoci skupili się dokoła Ezechiela.

- Ojczy, mamy go teraz w rękę, Kulawca! - szeptali. - Czyż mamy puścić go wolno? Mamyż pozwolić, żeby nadal popełniał zbrodnie, pastwił się nad niewinnymi? Ezechielu, czy nie nadeszła godzina, żeby Beztyłek za wszystko zapłacił?

Stary uniósł zaciśnięte pięści ku powale.

- Głód i zaraza! - wykrzyknął, o ile można nazwać krzykiem mówienie prawie bezgłośnie, ale nabrzmiałe siłą. - W naszym domu gość nigdy nie doznał szwanku. Sam będę stał na straży jego snu.

I ze strzelbą przewieszoną przez ramię stanął obok leżącego. Oko Medardo otwarło się.

- Co tu robicie, Mastro Ezechiele?

- Strzegę waszego snu, gościu. Wielu ma was w nienawiści.

- Wiem o tym - rzekł wicehrabia. - Nie śpiam w zamku, z obawy, żeby śludzy nie zabili mnie we śnie.

- Nawet we własnym domu nie kochają was, Mastro Medardo. Ale tej nocy nic wam nie grozi.

Wicehrabia milczał chwilę, a potem rzekł:

- Ezechielu, chcę się nawrócić na waszą wiarę.

Starzec milczał.

- Otoczony jestem niepewnymi ludźmi - ciągnął Medardo. - Chciałbym pozbyć się ich wszystkich i sprowadzić do zamku hugenotów. Wy, Mastro Ezechiele, będziecie moim ministrem. Ogłoszę Terralbę terytorium hugenockim i wytoczę wojnę książętom katolickim. Wy i wasi krewniacy będziecie w niej dowodzili. Zgadzaście się, Ezechielu? Możecie mnie nawrócić?

Starzec stał nieruchomo, z potężną piersią przeciętą na ukos rzemieniem strzelby.

- Zbyt dużo już zapomniałem artykułów mojej wiary - powiedział - żebym miał kogokolwiek nawracać. Zostanę razem z moim sumieniem na swojej ziemi, A wy, z wa-

szym sumieniem, na waszej.

Wicehrabia uniósł się na łokciu.

- Czy wiadomo wam, Ezechielu, że dotąd nie powiadomiłem Inkwizycji o obecności heretyków na moim terytorium? I że wasze głowy, posłane w darze naszemu biskupowi, przywróciłyby mnie natychmiast do łask kurii?

- Na razie nasze głowy siedzą jeszcze mocno na naszych karkach, panie - rzekł stary - ale jest coś, co jeszcze trudniej byłoby nam wyrzeć.

Medardo zerwał się i otworzył drzwi.

- Wolę spać pod tamtym oto dębem niż w domu wrogów - rzekł i wyszedł na deszcz.

Stary Ezechiel zawołał do swoich: - Dzieci, było nam pisane, że pierwszy zawita do nas Kulawiec. Oto odszedł już i ścieżka do naszego domu jest wolna; nie traćcie nadziei, dzieci, może pewnego dnia odwiedzi nas inny, lepszy wędrowiec.

Wszyscy brodaci hugenoci i kobiety w białych czepkach pochyliли głowy.

- A jeżeli nawet nikt nie przyjdzie - dodała żona Ezechiela - my zostaniemy tu, gdzie nasze miejsce.

W tej chwili błyskawica rozdarła niebo, uderzył grom, od którego zadrżały dachów-ki w dachu i kamienie w murach.

- Piorun uderzył w dąb! - krzyknął Tobiasz. - Płonie!

Wybiegli wszyscy z latarniami i ujrzeli ogromne drzewo zwęglone z jednej strony, od wierzchołka do korzeni, podczas gdy druga połowa pozostała nietknięta. Daleko przez szum deszczu przebijał stuk końskich kopyt i w świetle błyskawicy mignęła spowita płaszczem cienka sylwetka jeźdźcy.

- Tyś nas ocalił, ojciec - powiedzieli hugenoci. - Dzięki ci, Ezechielu.

Niebo bladło już na wschodzie. Był świt. Ezaw odwołał mnie na bok.

- No powiedz, czy oni nie są głupi - i pokazał mi pełną garść jakichś błyszczących przedmiotów - ściągnąłem wszystkie złote sprzączki od siodła, kiedy koń był uwiązany

w stajni. Powiedz, czy oni nie są głupi, że im to nie przyszło do głowy.

Obyczaje Ezawa nie przypadły mi do smaku, a znów obyczaje jego rodziny onieśmiały mnie. Wolałem nie mieć z nimi do czynienia i raczej chodziłem na brzeg morza zbierać małże i płoszyć kraby. Raz, kiedy na skalnym cyplu próbowałem wywabić z jamki małego krabika, zobaczyłem w spokojnej wodzie pode mną odbicie nagiej szpady wzniesionej nad moją głową i z przerażenia wpadłem do morza.

- Złap się za to - odezwał się mój wuj, gdyż on to właśnie skradał się do mnie od tyłu. I podawał mi szpadę, ostrzem zwróconą w moją stronę.

- Nie, sam sobie poradzę - odparłem i wdrapałem się na ostrogę skalną, oddzielną od dalszych skał sporą zatoczką.

- Polujesz na kraby? - zapytał Medardo. - Ja na polipy - i pokazał mi swoją zdobycz. Były tam duże polipy, brunatne i białe. Każdy przecięty był na pół jakby ciosem szpady, nie przestawały jednak poruszać mackami.

- Gdyby można przepołowić tak wszystko, co jest całe - mówił mój wuj, leżąc twarzą ku dołowi na skale i głaszcząc te drgające połówki polipów. - Gdyby tak każdy mógł wyjść ze swojej tępej, nieświadome, całkowitości. Kiedy byłem cały, wszystko było dla mnie naturalne a pomieszane, głupie jak powietrze; myślałem, że wszystko widzę, a to była tylko zewnętrzna powłoka. Jeżeli ty kiedyś staniesz się połową siebie, a życzę ci tego, chłopcze, zrozumiesz rzeczy niedostępne dla pospolitej inteligencji mózgowych. Utracisz połowę swojej osoby i świata ale ta połowa, która ci pozostanie, będzie tysiącokrotnie głębsza i więcej warta. I ty także będziesz pragnął, żeby wszystko było przepołowione, rozdarte na twój obraz i podobieństwo, gdyż piękno, mądrość i sprawiedliwość mieszczą się w tym tylko, co jest rozdarte.

- Ho, ho - mruczałem - ileż tu krabów! - I udawałem, że pochłaniają mnie tylko moje łowy, gdyż wolałem trzymać się jak najdalej od szpady mego wuja. Nie wróciłem na brzeg, dopóki nie poszedł sobie razem ze swoimi polipami. Ale echo jego słów nie przestawało mnie niepokoić i nie wiedziałem, gdzie mógłbym się schronić

przed jego manią przepoławiania. W którąkolwiek zwróciłbym się stronę, wszyscy - doktor Trelawney, Pietrochiodo, hugenoci, trędowaci - żyliśmy pod wodzą przepoławionego człowieka, on był panem, któremu służyliśmy, i nie umieliśmy się od niego uwolnić.

## VI

Przypięty pasami do siodła swego konia - skoczka, Medardo di Terralba od wczesnego ranka uganiał po wzgórzach, wspinał się stromo w górę i zbiegał w dół, przystawał na skraju dolinek spoglądając w ich głąb drapieżnym okiem. I tak właśnie zobaczył raz na łące pastuszka Pamelę ze stadkiem kóz.

„Pośród moich rozlicznych gwałtownych uczuć - powiedział sobie wicehrabia - nie ma żadnego, które odpowiadałoby temu, co ludzie cali nazywają miłością. A skoro dla nich uczucie tak głupie może mieć tak wielkie znaczenie, w takim razie to, które u mnie byłoby odpowiednikiem tamtego, byłoby z pewnością wspaniałe i straszliwe.” I postanowił zakochać się w Pamelu. Pamela, pulchna i bosa, w prostej różowej sukieneczynie, wylegiwała się na trawie trochę drzemiąc, trochę rozmawiając ze swymi kozami i wachając kwiatki.

Ale myśli jego, na zimno sformułowane, nie powinny wprowadzać nas w błąd. Na widok Pamelu Medardo odczuł jakieś nieznaczne pulsowanie krwi, coś, czego od dawna już nie doznawał, schronił się więc z jakimś trwożliwym pośpiechem pod osłonę tego rozumowania. Wracając w południe na pastwisko Pamela zobaczyła, że wszystkie rumianki na łące mają tylko połowę płatków, a druga połowa korony została oberwana. „Biada mi! - pomyślała - ze wszystkich dziewcząt w dolinie mnie właśnie musiał sobie wybrać!” Bo zrozumiała, że wicehrabia zakochał się w niej. Pozbierała wszystkie połowki rumianków, zabrała je do domu i włożyła między kartki książki do nabożeństwa.

Po południu pognęła na Polanę Mniszek kaczki, żeby się tam popastry i popływały w stawie. Łąka usiana była białym kwieciem pasternaku, ale i te kwiaty spotkał los margerytek - połowa każdego baldaszka była odcięta jak nożyczkami. „Biada mi - pomyślała Pamela - stanowczo on chce właśnie mnie!” i zebrała przepołowione pasternaki, aby ozdobić nimi ramę nad komodą.

Wnet jednak przestała o tym myśleć, owinęła warkocz dokoła głowy, zdjęła



suknię i wykapała się w stawie razem ze swoimi kaczkami.

Wieczorem wracała do domu przez łąki, na których rosło dużo mleczy zwanych także dmuchawcami. I Pamela spostrzegła, że wszystkie one pogubiły puszek z jednej strony, jak gdyby ktoś, leżąc na ziemi, dmuchał na nie z boku, a może tylko połową ust. Pamela zerwała kilka tych białych półkul, dmuchnęła i ich mięciutki biały puszek pofrunął w dal. „Biada, po trzykroć biada mi - powiedziała znowu Pamela. - Stanowczo on mnie chce. I jak się to skończy?”

Dom Pameli był tak mały, że kiedy zapędziło się kozy na pięterko, a kaczki na parter, trudno już było się tam pomieścić. Dokoła domu uwijały się pszczoły, gdyż obok była pasieka, a na ziemi roiło się od mrówek, taki, że wystarczyło jej dotknąć, żeby ręka stała się czarna od mrówek i swędząca. W tym stanie rzeczy matka Pameli sypiała w szopie na sianie, ojciec - w pustej beczce, a Pamela w hamaku, zawieszonym pomiędzy drzewem figowym a oliwką.

W progu domu Pamela stanęła. Leżał tam martwy motyl. Jedno skrzydło i pół tułowia było zmiażdżone kamieniem. Pamela krzyknęła i zaczęła wołać ojca i matki.

- Kto tu był? - pytała ich.

- Przejeżdżał tędy przed chwilą nasz wicehrabia - powiedzieli; - mówił, że goni motyla, który go ukąsił.

- Kiedyż to jaki motyl kogo ukąsił?

- Ba, my także się, temu dziwimy.

- Rzecz w tym - rzekła Pamela - że wicehrabia zakochał się we mnie i musimy być przygotowani na najgorsze.

- E, wbiłaś sobie coś do głowy, przesadzasz - odpowiedzieli, jak to zwykle starzy odpowiadają młodemu, o ile to nie młodzi odpowiadają tak starym.

Nazajutrz, zbliżywszy się do kamienia, na którym zwykle siadała pasąc kozy, Pamela krzyknęła przeraźliwie. Odrażające szczątki leżały na tym kamieniu: pół nietoperza i pół meduzy, jedno broczące czarną krwią, drugie lepkie i śliskie, jedno z

rozpostartym skrzydłem, drugie z miękką galaretowatą frędzlą. Pastuszka zrozumiała, że to wiadomość dla niej. Miało to oznaczać spotkanie wieczorem nad morzem. Pamela zdobyła się na odwagę i poszła.

Na brzegu morza usiadła na kamienistej plaży i słuchała, jak szemrzą białe fale. Usłyszała tętent konia na kamieniach: Medardo galopował wzdłuż brzegu. Zatrzymał konia, odpiął pasy i zsunął się na ziemię.

- Pamelo, postanowiłem zakochać się w tobie - rzekł.

Zerwała się rozzłoszczona.

- I dlatego okalecza pan wszystkie stworzenia?

- Pamelo - westchnął wicehrabia - nie mamy innego języka, którym moglibyśmy się porozumieć. Każde zetknięcie się dwóch istot na tym świecie jest wzajemnym szarpaniem się. Pójdź ze mną, ja to zło znam, ze mną będziesz bezpieczniejsza niż z kimkolwiek innym. Bo ja zadaję ból podobnie jak wszyscy, ale, w odróżnieniu od innych, mam niezawodną rękę.

- I poszarpie mnie pan tak jak te margerytki i meduzy?

- Jeszcze nie wiem, co z tobą zrobię. Posiadanie ciebie umożliwi mi z pewnością rzeczy, których nie umiem sobie nawet wyobrazić. Zabiorę cię do zamku i będę cię tam trzymał i nikt inny nie będzie ciebie oglądał, i będziemy mieli całe dni i miesiące na to, żeby zrozumieć, co mamy czynić, i aby wynajdywać coraz nowe sposoby przebywania razem.

Pamela leżała na piasku, Medardo przyklęknął obok niej. Mówiąc gestykulował i wodził ręką w powietrzu dokoła niej, ale jej nie dotykał.

- No dobrze; ale muszę wiedzieć zawczasu, co mi pan zrobi. Może mi pan dać próbkę zaraz, a ja wtedy zdecyduję się, czy pójdę do zamku, czy nie.

Wicehrabia powoli zbliżył do policzka Pameli swoją suchą, szponiastą dłoń. Dłoń ta drżała i trudno było odgadnąć, czy chciał Pamelę pogłaskać, czy zadraskać. Ale nim jeszcze jej dotknął, cofnął rękę i wyprostował się.

- Chcę cię mieć w zamku - powiedział wsiadając na konia; - jadę przygotować wieżę, w której będziesz mieszkała. Daję ci jeszcze jeden dzień do namysłu, potem musisz się zdecydować.

To rzekłszy spał konia i odjechał plażą.

Nazajutrz Pamela wdrapała się jak zwykle na morwę zrywać owoce; usłyszała w gęstwinie liści jakieś trzepotanie i bolesne jęki. Omal nie spadła z przerażenia. Wysoko na drzewie uwiązany był za skrzydła kogut, a wielkie gąsienice, niebieskie i włochate, powoli go zżerały. Na samym grzebieniu umocowane miał gniazdo tych żarłocznych, niszczących lasy stworzeń.

Była to niewątpliwie jedna z okropnych zagadek wicehrabiego. Pamela zrozumiała ją tak: „Jutro o świcie spotkamy się w lesie”.

Pod pretekstem, że musi nazbierać worek szyszek, Pamela wyruszyła do lasu; Medardo, kuśtykając o kuli, wyłonił się zza drzewa.

- I cóż? - zagadnął. - Zdecydowałaś się przyjść do zamku?

Pamela leżała na pościeli z igliwia.

- Zdecydowałam się nie iść - rzekła, ledwie zwracając ku niemu głowę. - Jeżeli mnie pan chce, może pan przychodzić do mnie tu do lasu.

- Przyjdiesz do zamku. Wieża, w której będziesz mieszkała, jest gotowa. Będziesz jej jedyną panią.

- Chce mnie pan więzić, a potem może jeszcze spalić mnie w pożarze albo dać szczyrom na pożarcie. Nie, nie. Powiedziałam już: będzie mnie pan miał, jeśli pan chce, ale tutaj, na sosnowym igliwiu.

Wicehrabia przysunął się bliżej do jej głowy. W ręku trzymał igłę sosnową. Przytknął ją do szyi Pameli i przesunął końcem igły po szyi dokoła. Pamela czuła, że dostaje gęsiej skórki, ale nie drgnęła. Widziała pochyloną nad sobą twarz wicehrabiego, widziała jego profil, który pozostawał profilem, nawet kiedy się na niego patrzyło na wprost, dwa pół-szeregi zębów odsłoniętych w ostrym jak nożyce uśmiechu. Medardo

ścisnął sosnową igłę w garści i skruszył ją. Wstał.

- Zamknięta w zamku chcę cię mieć! Zamknięta w zamku!

Pamela zrozumiała, że teraz może ryzykować. Poruszając w powietrzu bosymi nogami, powiedziała:

- Tu, w lesie, nie powiem nie; w zamknięciu nigdy, nawet po śmierci.

- Potrafię cię tam sprowadzić! - rzekł Medardo kładąc rękę na grzbiecie konia, który pojawił się właśnie ni z tego, ni z owego, jakby przechodził tamtędy przypadkiem. Uniósł się na strzemieniu, spiął konia i odjechał leśną ścieżką.

Tej nocy Pamela spała jak zawsze w hamaku zawieszonym między drzewem oliwnym a figowym. Zbudziwszy się rano ujrzała - co za ohyda! - leżące na jej łonie małe skrwawione ciało. Była to połowa wiewiórki, przecięta jak zwykle wzdłuż, tylko ruda kita była nietknięta.

- O ja nieszczęsna! - powiedziała do rodziców. - Ten wicehrabia nie daje mi żyć.

Ojciec i matka oglądali ścierwo wiewiórcze, przekładając je z ręki do ręki.

- A jednak - rzekł ojciec - ogon został w całości. Może to dobry znak...

- Może zaczyna być dobry... - dodała matka.

- Przecina zawsze wszystko na pół - mówił ojciec - a jednak to, co wiewiórka ma najładniejszego, ogon, uszanował...

- Może to ma znaczyć - ciągnęła matka - że i w tobie to, co piękne i dobre, uszanuje...

- Czegóż to ja się od was muszę nasłuchać, ojczy i matko! Coś w tym jest: wicehrabia chyba z wami mówił...

- Mówić to nie mówił - rzekł ojciec - ale dał nam znać, że chce do nas przyjść i że zatroszczy się o naszą biedę.

- Ojczy, jeżeli przyjdzie z tobą gadać, otwórz ule i napuść na niego pszczoły.

- Córkó, może mastro Medardo zaczął się odmieniać na lepsze... - odezwała się stara.

- Matko, jeżeli zechce z wami gadać, zwiążcie go, rzućcie w mrowisko i zostawcie go tam.

Tej nocy szopa, w której spała matka, stanęła w płomieniach, a beczka ojca rozpadła się. Rano, kiedy oboje starzy przyglądali się żałośnie skutkom katastrofy, zjawił się wicehrabia.

- Przykro mi, że wam narobiłem strachu tej nocy - powiedział - ale nie wiedziałem, jak by tu zacząć z wami rozmowę. Chodzi o to, że podoba mi się wasza córka Pamela i chciałbym ją zabrać z sobą do zamku. Więc proszę was, żebyście mi ją oddali. Jej życie się odmieni, a i wasze także.

- Rozumie się że bylibyśmy temu radzi, *signoria!* - odparł staruszek. - Ale gdyby wielmożny pan wiedział, jaki charakter ma ta nasza córka! Pomyśleć, że kazała nam napuścić na pana pszczoły z naszych uli...

- Mało tego, *signoria...* - dodała matka - kazała nam związać pana i rzucić w mrowisko...

Szczęśliwie się stało, że Pamela tego dnia wcześniej wróciła do domu. Zastała ojca i matkę skrępowanych - jego przy ulu, ją na mrowisku. Szczęście też, że pszczoły znały starego, a mrówki miały co innego do roboty niż kąsać starą. Uwolniła więc oboje bez szwanku.

- Widzicie teraz, jaki dobry zrobił się wicehrabia? - rzekła Pamela.

Mimo to jednak dwoje staruszków coś knuło. Nazajutrz związali Pamelę, zamknęli ją w domu razem z inwentarzem i powędrowali do zamku powiedzieć wicehrabiemu, że jeżeli chce ich córkę, może po nią przysłać; oni gotowi są mu ją wydać.

Ale Pamela umiała się ze swymi zwierzętami porozumieć. Toteż kaczki dziobami rozszarpały jej więzy, a kozy poty tłukły rogami w drzwi, aż je wyważyły. Pamela uciekła zabierając z sobą najulubieńszą kozę i kaczkę; udała się do lasu i zamieszkała tam w jaskini znanej tylko jej i jednemu małemu chłopcu, który znosił jej tam żywność i

nowiny.

Tym chłopcem byłem ja. Dobrze się żyło w lesie z Pamela. Nosilem jej owoce, ser i suszone ryby, a ona w zamian dawała mi kubek koziego mleka i parę kaczych jaj. Kiedy kąpała się w stawie czy strumieniu, stałem na straży, żeby nikt jej nie zobaczył.

Przez las przejeżdżał często mój wuj. Trzymał się z daleka, dawał jednak znać o swej obecności w właściwy sobie przykry sposób. Nieraz spadający odłamek skały omal nie zabił Pameli i jej zwierząt. To znów pień drzewa, o który się oparła, walił się, podrabany od dołu siekierą. Albo źródółko okazywało się zanieczyszczone powrzucając do niego ścierwem zwierzęcym.

Mój wuj zaczął ostatnio polować z procą, którą nauczył się manewrować jedną ręką. Był jeszcze bardziej ponury i złośliwy niż dawniej, jak gdyby jakieś nowe zgryzoty drażyły tę resztkę jego ciała.

Któregoś dnia idąc z doktorem Trelawney przez wieś spotkaliśmy się z wicehrabią, który najechał koniem na doktora, przewrócił go i omal nie stratował. Koń zatrzymał się z jednym kopytem na piersi Anglika, a mój wuj powiedział:

- Proszę mi wyjaśnić, doktorze: mam takie uczucie, jakby noga, której nie mam, była bardzo znużona wędrowaniem. Co to może znaczyć?

Trelawney zmieszał się i zaczął coś bąkać jak zwykle, ale wicehrabia, nie słuchając, spał konia i odjechał. Jego pytanie musiało jednak zastanowić doktora, bo zaczął rozmyślać, podparłszy głowę rękami. Nigdy nie widziałem u niego takiego zainteresowania jakimś zagadnieniem ludzkiej medycyny.

## VII

Dokoła Pratofungo rosły bujne kępy mięty pieprzowej i żywopłoty rozmarynu; trudno było rozpoznać, czy wyrosły tak dziko, czy też ktoś założył tam plantację aromatycznych ziół. Wałęsałem się lekko oszołomiony ciężką słodkawą wonią, szukając sposobu dotarcia do starej Sebastiany.

Odkąd Sebastiana odeszła ścieżką wiodącą do wioski trędowatych, częściej niż dotychczas przypomiąłem sobie, że jestem sierotą. Byłem w rozpacz, że nic o niej nie wiem. Pytałem o nią Galatea krzycząc z wierzchołka drzewa, kiedy pod nim przechodził; ale Galateo był wrogiem dzieci, bo często spuszczały na niego z drzewa żywe jaszczurki, toteż dawał swoim skrzekliwym, przesłodzonym głosem drwiące i niezrozumiałe odpowiedzi. Teraz do dawnej ciekawości - jak to tam jest w Pratofungo? - dołączyło się pragnienie odszukania piastunki, wałęsałem się więc bez końca pośród wonnych zarośli.

Z rozłożystej kępy tymianku podniosła się jakaś jasno odziana postać w słomianym kapeluszu i ruszyła w stronę wioski. Był to stary człowiek, jeden z trędowatych; chciałem zapytać go o nianię, zbliżywszy się więc o tyle, żeby mógł mnie słyszeć bez podnoszenia głosu, odezwałem się:

- Hej, tam, mości trędowaty!

Ale w tejże chwili, może zbudzona moimi słowami, podniosła się tuż obok mnie inna leżąca postać, usiadła i przeciągnęła się leniwie. Ta istota miała twarz całą w łuskach, jak zeschnięta kora drzewa, i wełnistą, rzadką siwą brodę. Trędowaty ten wydobył z kieszeni fujarkę i rzucił w moim kierunku piskliwy tryl, jakby chciał sobie ze mnie zadrwić. I nagle spostrzegłem, że to słoneczne popołudnie roi się od trędowatych, którzy do tej chwili leżeli pod osłoną zarośli, a teraz podnosili się powolutku w swoich jasnych długich kaftanach i ruszali pod słońce, w kierunku Pratofungo, niosąc w rękach jedni instrumenty muzyczne, inni narzędzia ogrodnicze i dobywając z nich rozmaite

dźwięki. Cofnąłem się, żeby nie być za blisko tamtego brodacza, i omal nie wpadłem na trędowatą kobietę bez nosa, która czesała się pod krzewem wawrzynu. Uskakiwałem to tu, to tam i wszędzie natykałem się na coraz nowych trędowatych; bez przeszkód mogłem iść tylko w jednym kierunku - ku Pratofungo, którego słomiane dachy zdobne w festony kolorowych pnączy widniały już blisko u stóp wzgórza.

Trędowaci nie zwracali na mnie większej uwagi, czasem tylko któryś mrugnął ku mnie okiem albo zagrał krótki akord na organkach, mnie się jednak wydawało, że stanowią ośrodek tego ich pochodzenia i że prowadzą mnie do Pratofungo niby schwyte zwierzę. W wiosce ściany domów pomalowane były na liliowo, a w oknie jednego z nich na pół ubrana kobieta z liliowymi plamami na twarzy i piersiach, z lirą w ręku, wykrzyknęła na nasz widok: „Wracają ogrodnicy!” - i zaczęła grać na lirze. Zaraz też z okien i altanek zaczęły się wychylać inne kobiety, potrząsając dzwoneczkami i śpiewając: - „Witajcie, ogrodnicy!”

Starłem się trzymać środka uliczki nikogo nie dotykać; znalazłem się jednak na rozstaju dróg, otoczony zewsząd trędowatymi. Mężczyźni i kobiety obsiedli progi swoich domów, odziani w spłowiałe, zniszczone koszule, spod których przez rozdarcia widać było guzy i wstydlive miejsca ciała; we włosach ich tkwiły kwiaty głogu i anemony.

Trędowaci dawali mały koncert, sądzić by można, że na moją cześć. Niektórzy pochylali skrzypce w moją stronę, przesadnie długo pociągając smyczkiem po strunach, inni, kiedy na nich spojrziałem, rechotali jak żaby, jeszcze inni pokazywali mi dziwaczne pajace jeżdżące w górę i w dół po nitce. Takie to nieskoordynowane dźwięki i gesty składały się na ów koncert, ale był w nim refren, który raz po raz powracał: „Kurczątko czyściutkie poszło na morwy, pobrudziło się”.

- Szukam mojej piastunki - powiedziałem głośno - starej Sebastiany: nie wiecie, gdzie ona jest?

Wybuchnęli śmiechem, a miny mieli przy tym złośliwe i chytne.



- Sebastiano! - zawołałem. - Sebastiano! Gdzie jesteś?

- A to tu, dziecko - powiedział jeden z trędowatych - dobre, dobre dziecko! - I wskazał mi jakieś drzwi.

Drzwi się otworzyły, wyszła z nich kobieta oliwkowej cery, może Saracenka, półnaga i wytatuowana, owinięta girlandą pnączy, tańcząc jakiś rozwiązły taniec. Tego, co potem nastąpiło, nie zrozumiałem dobrze: mężczyźni i kobiety jęli rzucać się jedni na drugich i zaczęło się coś, co, jak się później dopiero dowiedziałem, nazywa się orgią.

Skuliłem się i starałem się być jak najmniejszy. Ale nagle zobaczyłem wielką starą Sebastianę, jak toruje sobie drogę przez to kłębowisko.

- Wstrętne świntuchy! - powiedziała.- Moglibyście mieć trochę względów dla tej niewinnej duszyczki.

Wzięła mnie za rękę i odciągnęła stamtąd, podczas gdy oni wyśpiewywali: „Kurczątko czyściutkie poszło na morwy, pobrudziło się!”

Sebastiana miała na sobie fioletową szatę niemal zakonnego kroju, a na jej gładkich, nie pomarszczonych policzkach zaczynały już ukazywać się plamy. Byłem szczęśliwy, że odnalazłem moją nianię, ale zarazem zrozpaczony, że dotyka mojej ręki i na pewno zarazi mnie trędem. Powiedziałem jej to.

- Nic się nie bój - odpowiedziała Sebastiana. - Mój ojciec był piratem, a mój dziad pustelnikiem. Znam się na wszelkich ziołach dobrych na choroby tutejsze czy zamorskie. Oni tu nacierają się lebiodą i ślazem; a ja sobie po cichutku przyrządzam z rzeżuchy i ogórecznika wywary i, póki życia, trąd nie będzie się mnie imał.

- A te plamy na twarzy, nianiu? - zapytałem, znacznie już podniesiony na duchu, ale jeszcze niezupelnie przekonany.

- Z kalafonii. Żeby myśleli, że jestem także trędowata. Chodź do mnie, napijesz się gorących ziółek; skoroś się tutaj znalazł, nigdy nie za wiele ostrożności.

Zabrała mnie do swego domu, chatki leżącej trochę na uboczu, czystej i dość za-sobnej. Zaczęliśmy rozmawiać.

- A Medardo? A Medardo? - przerywała mi raz po raz. - A to zbój! To bestia! Zakochany! To dopiero! Ach, biedna dziewczyna! A tutaj, tutaj! Wy tam pojęcia nie macie, co się tu wyprawia! Jak oni wszystko marnują! My sobie od ust odejmujemy, żeby jak najwięcej dawać Galateowi, a tutaj, żebyś wiedział, co oni z tym wszystkim robią! Ten Galateo to nicpoń, wiesz! I nie on jeden! Co się tu dzieje po nocach! A i w dzień także! A te kobiety! Takich bezwstydnie w życiu nie widziałam! Żeby choć umiały utrzymywać dobytek w porządku, ale i to nie! Flejtuchy, obdartusy! Och, mówiłam im to prosto w oczy... a one, wiesz, co mi odrzekły?

Bardzo zadowolony ze swoich odwiedzin u piastunki, wybrałem się nazajutrz łapać węgorze.

Zapuściłem wędkę w mały stawik, przez który przepływał strumień, i czekając zdrzemnąłem się. Nie wiem, jak długo spałem; zbudził mnie nagle jakiś szelest. Otworzyłem oczy i zobaczyłem rękę wyciągniętą nad moją głowę, a na ręce - włochatego czerwonego pająka. Odwróciłem się: za mną stał wuj w swojej czarnej opończy.

Zerwałem się przerażony, ale w tej samej chwili pająk ukąsił rękę, na której siedział, i natychmiast zniknął. Wuj podniósł rękę do ust, wyssał lekko ranę i powiedział:

- Kiedy spałeś, zobaczyłem jadowitego pająka, jak spuszcza się z gałęzi prosto na twój kark. Wyciągnąłem rękę, a on mnie uciał.

Nie uwierzyłem ani jednemu jego słowu. Już trzy razy, lekko licząc, wuj próbował mnie w taki czy inny sposób uśmiercić. Ale tym razem pająk naprawdę go ukąsił i ręka zaczynała już puchnąć.

- Jesteś moim siostrzeńcem - odezwał się Medardo.

- Tak - odpowiedziałem, zaskoczony nieco, bo pierwszy to raz okazał, że mnie poznaje.

- Poznałem cię od razu - rzekł. I dodał: - Pająku! Mam tylko jedną rękę, i tę chcesz mi zatruć jadem! Ale cóż, lepiej że wywarłeś swoją złość na mojej ręce, niżby się to miało

przytrafić szyi tego dziecka.

O ile mi było wiadomo, mój wuj nigdy nie przemawiał w podobny sposób. Przemknęła mi przez głowę myśl, że mówi prawdę i że ni stąd, ni zowąd stał się dobry, zaraz jednak odpędziłem ją: udawanie i podstępny należały przecież do jego obyczajów. Zapewne, wydawał się jakiś zmieniony, wyraz jego twarzy nie był okrutny i pełen napięcia, jak zwykle, raczej znużony i zbolący - może działał to przestach i ból ukąszenia. A może i to, że ubrany był jakoś inaczej, jego czarny płaszcz był zakurzony i trochę postrzępiony, upstrzony suchymi liśćmi i kolczastymi łupinkami kasztanów; ubranie widne spod płaszcza było też inne niż zwykle: nie z czarnego aksamitu, ale z wytartego i spłowiałego drelichu, noga zaś nie tkwiła w wysokim skórzanym bucie, tylko obciążona była wełnianą pończochą w niebieskie i białe paski.

Chcąc okazać, że się nim wcale nie interesuję, poszedłem spojrzeć na wędkę, czy czasem nie złapał się jaki węgorz. Nie, węgorza nie było, natomiast na haczyku błyszczał złoty pierścień z diamentem. Wyciągnąłem go: na kamieniu widniał wyryty herb Terralbów.

Wicehrabia, idąc za moim wzrokiem, powiedział:

- Nie dziw się. Przechodząc tędy zobaczyłem węgorza, który szarpał się schwytyany na wędkę, i tak mi się go żal zrobiło, że uwolniłem go. Ale potem pomyślałem o krzywdzie, jaką przez to wyrządzą rybakowi, i postanowiłem wynagrodzić mu ją tym pierścieniem, ostatnią cenną rzeczą, jaka mi pozostała.

Słuchałem z otwartą gębą. Medardo zaś mówił dalej:

- Nie wiedziałem jeszcze, że ten rybak to właśnie ty. Potem spostrzegłem cię śpiącego na trawie, ale radość, że cię widzę, zmieniła się rychło w przerażenie z powodu tego pajaka, który się na ciebie spuszczał. Resztę już wiesz - mówiąc to, popatrzył żalśnie na swoją rękę, spuchniętą i zsiniałą.

Wszystko to mogło stanowić szereg okrutnych kłamstw; ale ja pomyślałem, jakie to byłoby piękne, taka nagła odmiana uczuć, i ile radości przyniosłaby Sebastianie,

Pameli i wielu innym osobom, cierpiącym wskutek niegodziwości mego wuja.

- Wuju - powiedziałem - zaczekaj tu na mnie. Pobiegnę do starej Sebastiany, ona zna wszystkie zioła, i poproszę ją o takie, które leczą ukąszenie pająka.

- Niania Sebastiana... - odezwał się wicehrabia, leżąc na trawie z ręką na piersi. - Jakże ona się miewa?

Nie odważyłem się powiedzieć, że Sebastiana nie dostała wcale trądu; mruknąłem tylko: „Cóż, jako tako; już lecę” - i pobiegłem, strasznie ciekaw, co też Sebastiana pomyśli o tych wszystkich zdumiewających rzeczach.

Zastałem piastunkę w jej chatce. Byłem zdyszany wskutek szybkiego biegu i przejęcia, toteż opowiedziałem jej wszystko dosyć chaotycznie, ale staruszkę zainteresowało znacznie bardziej ukąszenie niż dobre uczynki Medarda.

- Czerwony pająk, mówisz? Tak, tak, znam ziele, jakiego tu potrzeba... Jednemu drwalowi kiedyś spuchło ramię... Zrobił się dobry, powiadasz? Cóż ty chcesz, żebym ci powiedziała, zawsze był chłopcem, do którego trzeba śmieć trafić... Gdzież ja wsadziłam te zioła? Trzeba mu z tego zrobić okład. Ach, to był ladaco od małego, ten Medardo... No, masz te zioła, schowałam ich cały woreczek na wszelki wypadek. Właśnie, zawsze tak było... jak sobie zrobił co złego, przychodził z płaczem do niani... Głębokie to ukąszenie?

- Cała lewa ręka ot, tak spuchnięta - powiedziałem.

- Ha, ha, mój mały... - roześmiała się. - Lewa... A gdzież on ją ma, panicz Medardo, tę lewą rękę? Zostawił ją na czeskiej ziemi, u Turków, bodaj ich wszyscy diabli, tam zostawił całą lewą połowę swego ciała...

- A jednak - przerwałem jej - a jednak... on stał tam, ja tu, on obrócił rękę o, tak... jakże to może być?

- Cóż to, nie odróżniasz prawej strony od lewej? - zdumiała się piastunka. - Toż umiałeś to już, kiedyś miał pięć latek...

Nic już nie rozumiałem. Zapewne, Sebastiana musiała mieć rację, ja jednak

pamiętałem wszystko na odwrót.

- No, zanieś mu to ziele, a śpiesz się - rzekła piastunka, a ja pobiegłem do wuja.

Przybiegłem zdyszany nad strumień, ale wuja tam nie było. Rozejrzałem się dokoła: zniknął razem ze swoją spuchniętą, zatrutą ręką.

Pod wieczór wałęsałem się po sadach oliwnych. Nagle zobaczyłem go. Stał na wysokim brzegu otulony w swój czarny płaszcz, oparty o pień oliwki. Odwrócony do mnie tyłem wpatrywał się w morze. Poczułem, że znowu ogarnia mnie lęk, z trudem przemogłem się i przemówiłem cichutko:

- Wuju, tu są zioła od ukąszeń... Połowa twarzy odwróciła się gwałtownie, skurczona okrutnym grymasem. - Jakie zioła, co za ukąszenia? - wrzasnął.

- No, te zioła gojące - powiedziałem. Poprzedni łagodny wyraz zniknął z twarzy wuja, był widocznie czymś zupełnie chwilowym; teraz może nawet uśmiech wracał powoli, ale był to uśmiech twardy, sztuczny.

- Tak, tak... dobre dziecko... włóż tam, do dziupli tego drzewa... wezmę je sobie później... - powiedział.

Posłusznie wsunąłem rękę w dziuplę. Było tam gniazdo os. Wyleciały na mnie całą chmarą. Zacząłem uciekać, rój os ścigał mnie, rzuciłem się w wodę i przepłynąłem kawałek nurkując. W ten sposób dopiero uwolniłem się od os. Uniósłszy głowę nad wodę usłyszałem ponury śmiech oddalającego się wicehrabiego.

Raz jeszcze udało mu się mnie podejść. Ale ja nic z tego wszystkiego nie rozumiałem i poszedłem do doktora Trelawney, żeby z nim o tym pomówić. Zostałem Anglika w chatce grabarza, ślęczącego - rzadki wypadek - przy świetle kaganka nad dziełem o anatomii człowieka.

- Doktorze - spytałem - czy zdarza się, żeby człowiek ukąszony przez czerwonego pajaka wyszedł z tego bez szwanku?

- Czerwony pajak, mówisz? - poderwał się doktor. - Kogóż jeszcze ukąsił czerwony pajak?

- Mojego wuja, wicehrabiego - wyjaśniłem - i właśnie kiedy przyniosłem mu od piastunki zioła, on znowu zrobił się zły, choć już wydawał się dobry, i nie przyjął mojej pomocy.

- Dopiero co opatrywałem wicehrabiemu rękę ukąszoną przez czerwonego pająka - powiedział Trelawney.

- No i co? Wydawał się dobry czy zły? Wtedy doktor opowiedział mi wszystko, jak było.

Kiedy zostawiłem wuja leżącego na trawie ze spuchniętą ręką, doktor Trelawney właśnie tamtędy przechodził. Spostrzegł wicehrabiego i, przestraszony jak zawsze, starał się ukryć pomiędzy drzewami. Ale Medardo usłyszał jego kroki, podniósł się i zawołał: „Hej, kto tu?” „Jeżeli zobaczy, że to ja - pomyślał Anglik - i że się kryję, kto wie, co przeciw mnie uknuje!” - i chciał umknąć chyłkiem. Ale potknął się i wpadł do stawu. Mimo że spędził życie na okrętach, doktor Trelawney nie umiał pływać; miotał się bezradnie pośrodku stawu wzywając ratunku. Widząc to wicehrabia zszedł do wody, przytrzymując się swoją bolącą ręką korzenia drzewa i wysunął nogę najdalej jak mógł, tak że doktor uchwycił się jej. Długi, cienki wicehrabia posłużył mu za linę, dzięki której wydostał się na brzeg.

Bezpieczny na suchym lądzie doktor zaczął jękać:

- Oh, milordzie... dzięki, dzięki, milordzie... jakże zdołam... - i nagle kichnął mu prosto w twarz, gdyż się zaziębił.

- Na zdrowie - Medardo na to - ale proszę się okryć - i zarzucił połę swego płaszcza na ramiona doktora.

Doktor wzbraniał się, zmieszany jak nigdy w życiu. A wicehrabia: - Proszę, proszę, daję go panu.

Wówczas Trelawney spostrzegł spuchniętą rękę Medarda.

- Co za bestia pana ukąsiła?

- Czerwony pająk.

- Proszę mi pozwolić opatrzyć ranę, milordzie.

Zaprowadził go do domku grabarza, obłożył rękę maściami i zabandażował. Przez ten czas wicehrabia rozmawiał z nim życzliwie i uprzejmie. Rozstali się, obiecując spotkać się wkrótce znowu i zacieśnić zawartą przyjaźń.

- Doktorze! - powiedziałem po wysłuchaniu jego opowieści - Wicehrabia, którego pan kurował, zaraz potem popadł na nowo w swoje okrutne szaleństwo i wypuścił na mnie rój os.

- Nie ten, którego kurowałem - odparł doktor przymrużając oko.

- Jak to, doktorze?

- Dowiesz się w swoim czasie. Na razie nie piśnij o tym nikomu ani słówka. A teraz nie przeszkadzaj mi w moich studiach, zbliżają się bowiem ważne wydarzenia.

I doktor Trelawney, nie zwracając na mnie więcej uwagi, zagłębił się w niezwyklej dla siebie lekturze traktatu o anatomii ciała ludzkiego. Musiał mieć jakieś tajemne plany, bo w ciągu następnych dni był milczący i skupiony.

Ale wieści o dwojakiej naturze Medarda zaczęły teraz napływać z wielu stron. Dzieci zabłąkane w lesie spotykały tam, ku wielkiemu swemu przerażeniu, półczłowieka wspartego na szczudle, który brał je za rękę i odprowadzał do domu, obdarowując figami i smażonymi placuszkami, ubogim wdowom pomagał dźwigać chrust, leczył psy pokąsane przez żmije; biedacy znajdowali na okienkach i progach domów jakieś tajemnicze podarunki, drzewka owocowe wyrwane przez wicherę ktoś prostował i umocowywał w ziemi, nim jeszcze ich właściciele zdążyli wysunąć nos z domu.

W tym samym jednak czasie pojawienie się wicehrabiego spowitego w swój czarny płaszcz bywało zwiastunem ponurych wydarzeń: zaginione dzieci odnajdywano w jaskiniach, do których wejście zawałone było kamieniami; konary drzew i odłamy skalne spadały ni stąd, ni zowąd na przechodzące staruszki; piękne świeżo dojrzałe dynie znajdowano porozbijane na kawałki bez żadnego celu, z samej tylko złościwości.

Proca wicehrabiego od dawna już trafiała wyłącznie w jaskółki; i to tak, żeby ich nie zabijać, ale poranić i okaleczyć; ale teraz zaczęto widywać także jaskółki z nóżkami obandażowanymi i umocnionymi patyczkiem, ze skrzydełkami pozszywanymi albo posklejanymi woskiem; widywano całą chmarę takich jaskółek, które latały ostrożnie i trzymały się razem, niby rekonwalescenci z jakiegoś ptasiego szpitala; i mówiono, choć trudno w to uwierzyć, że właśnie Medardo był ich lekarzem.

Pewnego razu burza zaskoczyła Pamelę razem z jej kozą i kaczką na odległym pustkowiu. Dziewczyna wiedziała, że w pobliżu jest grotta, właściwie tylko niewielkie zagłębienie w skale, toteż pobiegła w tę stronę. Zobaczyła wystający z grotty trzewik zniszczony i połatany, a wewnątrz - skuloną połowę człowieka, otuloną w czarny płaszcz. Chciała uciekać, ale wicehrabia dostrzegł ją i wyszedł na ulewny deszcz, mówiąc:

- Schroń się tutaj, dziewczeczko.

- Ani myślę - odparła Pamela. - Jest tam miejsce zaledwie na jedną osobę i pan chciałby mnie tam zgnieść na placek.

- Nie bój się - rzekł wicehrabia. - Ja zostanę na zewnątrz, zmieścisz się więc doskonale razem ze swoją kozą i kaczką.

- Kozą i kaczką mogą moknąć.

- Zobaczysz, że i je także jakoś osłonimy.

Pamela, która słyszała o dziwnych napadach dobroci wicehrabiego, pomyślała sobie: „No cóż, spróbujmy” i skuliła się w grocie, wciśnięta między swoje dwa zwierzaki. Wicehrabia stał przed wejściem do grotty trzymając rozpostarty płaszcz w taki sposób, żeby osłonić przed deszczem także kozę i kaczkę. Pamela spojrzała na rękę trzymającą płaszcz; zastanawiała się chwilę, przyglądała się własnym rękoma, porównywała jedną z- drugą i nagle wybuchnęła śmiechem.

- Cieszy mnie, że ci tak wesoło, dziewczeczko - powiedział wicehrabia - ale z czego się śmiejesz, jeśli wolno zapytać?



- Śmieję się, bo zrozumiałam coś, od czego wszyscy u nas we wsi rozum tracą.

- Cóż takiego?

- Dlaczego pan jest czasem dobry, a czasem zły. Teraz wszystko jest jasne.

- Jakim sposobem?

- A takim, że teraz wiem, że pan to ta druga połowa. Ten wicehrabia, który żyje w zamku, ten zły, to jedna połowa. A pan to ta druga, co niby to przepadła na wojnie, a tymczasem teraz wróciła. I to jest ta dobra połowa.

- Ładnie powiedziane. Dziękuję.

- Och, po prostu tak jest, nie prawię żadnych komplementów.

Otóż i dzieje Medarda, takie jak je Pamela poznała tego wieczora. Nie było prawdą, że kula armatnia zmiażdżyła połowę jego ciała: wystrzał rozłupał je tylko na dwoje. Jedną połowę podnieśli z pobojowiska ci, którzy zbierali rannych; drugiej, ukrytej pod stosem chrześcijańskich i tureckich zwłok, nie zauważono. Głęboką nocą na pobojowisko wyszło dwóch pustelników, nie wiadomo na pewno, czy wyznających prawdziwą wiarę, czy też nekromantów; pustelnicy ci, jak to bywa podczas wojen, żyli na ziemi niczyjej - pomiędzy dwoma wrogimi wojskami i, być może, próbowali obejmować wspólnym uściskiem Trójcę chrześcijańską i Allacha Mahometa. Powodowani swoją szczególną pobożnością pustelnicy ci, natknąwszy się na, przepołowione ciało Medarda, zanieśli je do swojej jaskini i tam, przy pomocy im tylko znanych balsamów i maści, przywrócili go do życia i wykurowali. Wróciwszy do sił, ranny pożegnał swoich zbawców i kuśtykając o kuli przemierzał przez miesiące i lata szereg chrześcijańskich krajów, aż wreszcie dotarł do ojczystego zamku, zadziwiając wszystkich po drodze swymi dobrymi uczynkami. Opowiedziawszy Pameli swoją historię, dobra połowa wicehrabiego poprosiła pastuszkę, by ona z kolei opowiedziała swoje dzieje. I Pamela opowiedziała, jak to zły Medardo napastował ją zmuszając do ucieczki z domu i wałęsania się po lasach. Opowieść ta bardzo wzruszyła dobrego Medarda, przy czym obdzielił on swoją litością w równej mierze uciśnioną cnotę

pastuszki, pozbawione pociechy życie złego Medarda i osamotnienie biednych rodziców Pameli.

- Ach, oni! - powiedziała Pamela. - Moi rodzice to para starych łotrów. Nie ma ich co żałować.

- Ale pomyśl tylko, Pamelu, jacy muszą być smutni w swoim starym domu, nie mając nikogo, kto by się o nich troszczył i pomagał im w pracy na polu i w oborze.

- Niechby im się zawałiła na głowy ta ich obora! - Pamela na to. - Zaczynam rozumieć, że pan ma trochę za miękkie serce; zamiast rozprawić się jak należy ze swoją drugą połową za te wszystkie bezceństwa, jakie wyrabia, pan, jak widać, lituje się nad nią.

- Jakże tu się nie litować? Ja, który wiem, co to znaczy być połową człowieka, jakże mógłbym mu nie współczuć.

- Ale pan jest inny. Trochę stuknięty także, a jednak dobry.

Wówczas dobry Medardo powiedział: - O, Pamelu, to jest właśnie ta dobra strona przepołowienia: że rozumie się, jakie ciężkie jest dla każdego człowieka i dla każdej na świecie rzeczy poczucie swojej niepełności. Dopóki byłem cały, nie rozumiałem tego, chodziłem głuchy i nieprzystępny pośród bólów i ran, które są wszędzie tam, gdzie człowiek cały nigdy by się ich nie domyślił. Nie ja jeden, Pamelu, jestem istotą przeciętą i rozszczepioną, jesteś nią także i ty, i wszyscy inni... Czuję teraz braterstwo, jakiego przedtem, kiedy byłem cały, wcale nie znałem: braterstwo ze wszystkimi kalectwami i brakami tego świata. Jeżeli pójdziesz ze mną, Pamelu, nauczysz się czuć bóle cudze i leczyć swoje własne, lecząc tamte.

- Wszystko to pięknie - odrzekła Pamela - ale ja mam wielki kłopot z tym drugim pana kawałkiem, który zakochał się we mnie i nie wiadomo, co chce ze mną uczynić.

Mój wuj opuścił płaszcz, gdyż było już po burzy.

- Ja także jestem w tobie zakochany, Pamelu.

Pamela wyskoczyła żwawo z groty.

- Co za radość! Na niebie jest tęcza, a ja znalazłam nowego zalotnika. Także tylko połowa, ale dobra dusza.

Szli pod drzewami lśniącym jeszcze po deszczu, po rozmiękłych ścieżkach.

- Cóż więc zrobimy? - zagadnęła Pamela.

- Powiedziałbym, że moglibyśmy pójść do twoich rodziców, biednych staruszków, i pomóc im trochę w robocie.

- A idź, jeżeli chcesz - burknęła Pamela.

- Owszem, chcę tego, droga moja - rzekł wicehrabia.

- Ale ja tu zostaję - oświadczyła Pamela zatrzymując się wraz ze swą kaczką i kozą.

- Razem spełniać dobre uczynki, to jedyny sposób kochania się.

- Szkoda. Myślałam, że są jeszcze inne sposoby.

- Żegnaj, droga. Przyniosę ci placek na miodzie - i oddalił się ścieżką, podskakując wsparty na kuli.

- Co ty na to, kozo? Co ty na to, kaczuszek? - mówiła Pamela zostawszy sama ze swoimi zwierzakami. - Czy same tylko takie typy są mi sądzone?

## VIII

Odkąd stało się powszechnie wiadome, że powróciła druga połowa wicehrabiego, tyleż dobra, ile ta pierwsza była zła, w życiu Terralby zaszły wielkie zmiany.

Rankami towarzyszyłem doktorowi Trelawney w jego obchodzie pacjentów; bo doktor po troszku zaczął znowu zajmować się medycyną i dostrzegać rozliczne choroby szerzące się wśród naszej ludności osłabionej w ciągu minionych lat długimi okresami głodowania; choroby, którymi do owego czasu nigdy nie zawracał sobie głowy.

Wędrowaliśmy polnymi drogami i raz po raz napotykaliliśmy jakiś znak, że mój wuj przeszedł tamtędy przed nami. Mój wuj, ten dobry, oczywiście, każdego ranka odbywał także swój własny obchód, nie tylko chorych, ale wszystkich biednych i starych, którzy mogli potrzebować pomocy.

W sadzie Baccicii, na przykład, dojrzałe owoce granatu były wszystkie poobwiązywane gałgankami. Zrozumieliśmy od razu, że Bacciccia cierpi na ból zębów. Mój wuj poowijał owoce, żeby nie popękały i nie rozrzuciły ziarn, teraz kiedy ich właściciel z powodu bólu zębów nie mógł się zająć ich zbiorem, a zarazem jako znak dla doktora Trelawney, żeby wstąpił do chorego i przyniósł z sobą cęgi do wrywania zębów.

Radny Cecco miał na tarasie słonecznik, który rósł jakoś marnie i nie chciał zakwitnąć. Tego ranka zobaczyliśmy trzy kury uwiązane za nóżki do poręczy. Dziobały ziarna, a jednocześnie zrzucały białe łajno do donicy ze słonecznikiem. Zrozumieliśmy, że radny ma biegunkę. Mój wuj uwiązał kury, żeby użyźniły ziemię w donicy, a poza tym - żeby zwrócić uwagę doktora, że jest tam pilnie potrzebny.

Na schodkach domu starej Girominy zobaczyliśmy cały sznur ślimaków, ciągnący się aż do drzwi: grubych ślimaków, dobrych do gotowania. Był to podarunek, który mój wuj przyniósł Girominie z lasu, a zarazem znak, że z sercem staruszki jest gorzej, niechaj więc doktor wchodzi powoli, żeby jej nie przestraszyć.

Wszystkie te znaki obmyślał dobry Medardo po to, by nie niepokoić chorych gwałtownym wzywaniem lekarza, i po to, by Trelawney zawczasu wiedział, o co chodzi, i dzięki temu łatwiej mógł opanować swoją niechęć wchodzenia do cudzych domów i odwiedzania pacjentów, o których dolegliwościach nic nie wie.

Nagle w dolinie rozległ się ostrzegawczy krzyk: - Zły! Nadchodzi Zły!

Bo właśnie dostrzeżoną złą połowę mego wuja, uganiającą konno gdzieś w pobliżu. Każdy wtedy spieszył się ukryć, a najpierwszy ze wszystkich doktor Trelawney, ciągnąc mnie za sobą.

Przebiegając koło domu Girominy widzieliśmy na schodkach podeptane, zmiażdżone ślimaki - nic, tylko śluz i odłamki skorupki.

- Przechodził już tędy! Uciekać!

Na tarasie radnego Cecco kury uwiązane były na" wiklinowej plecionce, gdzie ułożono do suszenia pomidory, i w najlepsze zapaskudzały te dary boże.

- Uciekać!

W sadzie Baccicii wszystkie dojrzałe granaty leżały roztrzaskane na ziemi, z gałęzi zwisały tylko puste gałgankowe pętle.

- Uciekać!

Tak to nasze życie płynęło w owym czasie pomiędzy miłosierdziem a postrachem. Dobry (jak nazywano lewą połowę mego wuja w przeciwieństwie do Złego, czyli drugiej połowy) zaczął powszechnie uchodzić za świętego. Wszyscy pokrzywdzeni przez los, nędzarze, zdradzone kobiety, wszyscy, których coś dręczyło - spieszyli do niego. Byłby mógł to wykorzystać i zostać wicehrabią w miejsce tamtego. On jednak dalej prowadził życie wędrowne, krążył po okolicy, spowity z jednego boku w swoją czarną zniszczoną oponkę, oparty na kuli, w białą niebieskiej pocerowanej pończosze, czyniąc dobro zarówno tym, którzy go o to prosili, jak i tym, którzy go brutalnie przepędzali. I wystarczyło, żeby owca złamała nogę wpadłszy w rozpadlinę albo pijak dobył noża w tawernie, albo niewierna żona pobiegła nocną porą do ko-

chanka - a już on pojawiał się, jakby spadł z nieba, czarny i chudy, z łagodnym uśmiechem, udzielając pomocy czy dobrej rady, zapobiegając gwałtom i grzechom.

Pamela wciąż jeszcze przebywała w lesie. Zrobiła sobie huśtawkę zawieszoną między dwiema sosnami, potem drugą taką dla kozy i jeszcze jedną, lżejszą, dla kaczki i spędzała czas bujając się razem ze swymi zwierzakami. O jakiejś godzinie, kuśtykając pośród sosen, pojawiał się Dobry z zawiniątkiem pod pachą. Była to odzież wymagająca prania i reperacji, którą zbierał od żebraków, sierot, starców i chorych nie mających nikogo na świecie; przynosił to wszystko do prania Pameli, dając w ten sposób i jej także możliwość pełnienia dobrych uczynków. Pamela, której w lesie trochę się nudziło, chętnie prała odzież w strumieniu, a on jej pomagał. Potem rozwieszała wszystko do wysuszenia na sznurach od huśtawek, podczas gdy Dobry, siedząc na kamieniu, czytał jej głośno „Jeruzalem Wyzwoloną”.

Lektura ta nic a nic Pameli nie interesowała; ułożywszy się wygodnie na trawie iskała się (bo żyjąc w lesie nabawiła się rozmaitych insektów), drapała się gałązką rośliny zwanej żądęłkiem, poziewała, podnosiła z ziemi kamyki palcami bosych stóp i przyglądała się swoim nogom, różowym i pulchniutkim. Dobry, nie podnosząc oczu znad książki, wytrwale deklamował oktawę za oktawą, w zamiarze uszlachetnienia obyczajów tego prostego dziewczęcia.

Ona tymczasem, nie słuchając czytania i bardzo znudzona, po cichutku namówiła swoją kozę, żeby polizała pół-twarz Dobrego, kaczkę zaś - by usadowiła się na książce. Dobry drgnął i cofnął się odruchowo, podrywając w górę książkę, która się zamknęła. W tej samej chwili spomiędzy drzew wypadł w galopie Zły z nastawioną w stronę Dobrego kosą. Ostrze kosy natrafiło na książkę i przecięło ją wzdłuż na połowę. Część grzbietowa pozostała w rękach Dobrego, druga rozsypała się tysiącem przepołowionych kart w powietrzu. Zły odjechał galopem; niewątpliwie zamierzał ściąć pół głowy Dobrego, szczęściem oba zwierzaki wtrąciły się w najwłaściwszym momencie. Kartki poematu Tassa z białymi marginesami i połówkami wierszy,

rozwiane wiatrem, pospadały na gałązkach sosen i na trawie, niektóre popłynęły z wodą strumienia. Ze szczytu pagórka Pamela spoglądała na białe fruujące kartki i mówiła: „Jakie piękne!”

Kilka tych przepołowionych kartek doleciało do ścieżki, którą przechodziliśmy z doktorem Trelawney. Doktor pochwycił jedną w locie, obracał ją w ręku tam i na powrót, usiłując odcyfrować te wiersze bez początku, wreszcie pokręcił głową:

- Nic się z tego nie da zrozumieć. Ce... ce...

Fama o Dobrym dotarła także do hugenotów i nieraz widywano starego Ezechiela, jak stał w najwyższym miejscu żółknącej już winnicy, wpatrując się w stromą kamienistą dróżkę wiodącą z doliny.

- Ojczy - powiedział jeden z jego synów - widzę często, jak spoglądacie ku dolinie, jakbyście czekali stamtąd czyjś przybycia.

- Rzeczą człowieka jest czekać - odparł Ezechiel. - Sprawiedliwy czeka z ufnością, nieprawy z lękiem.

- Czy to Kulawca - na - drugą - nogę spodziewacie się, ojczy?

- Słyszałeś coś o nim?

- O niczym innym nie mówi się w dolinie, tylko o Mańkucie - Kalece. Myślicie, że przyjdzie aż tu, do nas?

- Skoro nasza ziemia jest ziemią ludzi sprawiedliwych i on jest człowiekiem sprawiedliwym, czemuż nie miałby przyjść?

- Nasza droga jest stroma i ciężka dla kogoś, kto idzie o kuli.

- Był już jeden Beznogi, który znalazł sobie konia, by tu dotrzeć.

Słyszając przemawiającego Ezechiela, inni hugenoci zaczęli się gromadzić wokół niego, wyłaniając się spomiędzy rzędów winorośli. Na wzmiankę o wicehrabim zadrżeli.

- Ojczy nasz, Ezechielu - odezwał się ktoś - kiedy przybył tu Przebiegły, owej nocy, i piorun spalił pół dębu, powiedzieliście, że może nadejdzie dzień, kiedy odwiedzi

nas lepszy wędrowiec.

Ezechiel skinął głową, przyciskając brodę do piersi.

- Ojcie, ten, o którym teraz była mowa, jest również kulawy, taki sam jak tamten, a wręcz odmienny, zarówno na ciele, jak w duszy: miłosierny tyleż, ile tamten okrutny. Czy to on jest gościem, którego wasze słowa zapowiadały?

- Każdy wędrowiec na każdym gościńcu może nim być - odrzekł Ezechiel - a zatem i on także.

- Miejmy więc nadzieję, że to będzie on - mówili sobie hugenoci.

Żona Ezechiela kroczyła przed siebie z nieruchomo utkwionym w przestrzeni wzrokiem, popychając przed sobą wózek chrustu.

- Spodziewamy się zawsze tego, co najlepsze - powiedziała - ale nawet jeśli ten, który zbliża się kulejąc ku nam przez pagórki, jest tylko biednym okaleczonym na wojnie człowiekiem dobrym czy złym, my dzień po dniu winniśmy czynić, co nam nakazuje sprawiedliwość, i uprawiać nasze pole.

- Rozumie się - mówili hugenoci - czyżbyśmy powiedzieli coś, co się temu sprzeciwia?

- A więc, skoro wszyscy zgadzamy się na jedno - rzekła kobieta - możemy wracać do motyk i wideł.

- Głód i zaraza! - wybuchnął Ezechiel - Kto wam pozwolił przerwać kopanie?

Hugenoci rozbiegli się pomiędzy rzędy winorośli podejmując porzucone na ziemi narzędzia. Ale w tejże chwili Ezaw, który korzystając z nieuwagi ojca wdrapał się na drzewo figowe, aby podjeść sobie pierwszych owoców, zawołał:

- Tam, w dolinie! Któż to jedzie do nas na mule?

Istotnie, stromą ścieżką piał się ku górze muł, dźwigając przywiązaną na siodle połowę człowieka. Był to Dobry, który kupił to stare wyleniałe zwierzę w chwili, kiedy miano je utopić, bo takie było już nędzne, że nie nadawało się nawet na rzeź.

„No cóż, ja ważę tylko połowę ciężaru człowieka - powiedział sobie - mnie jesz-



cze ten stary muł jakoś udźwignie. A mając wierzchowca, będę mógł pełnić dobre uczynki w dalszym zasięgu". I jako cel pierwszej wyprawy obrał osiedle hugenotów.

Hugenoci powitali go stojąc w szeregu, uroczyście, i śpiewając psalm. Następnie starzec podszedł do gościa i pozdrowił go jak brata. Dobry zsiadł z muła, ceremonialnie odpowiedział na powitanie, pocałował w rękę żonę Ezechiela stojącą z twardym, chmurnym wyrazem . twarzy, zapytał wszystkich o zdrowie, wyciągnął rękę chcąc pogłaskać potarganą głowę Ezawa, który cofnął się spiesznie, wysłuchał opowieści o prześladowaniach wzruszony i pełen oburzenia na prześladowców. Oczywiście mówiło się o tych rzeczach bez specjalnego nacisku na spory religijne, przypisując owe nieszczęścia raczej złości ludzkiej jako takiej. Medardo przemknął lekko nad faktem, że sprawcą prześladowania był Kościół, do którego on przynależał, a hugenoci ze swej strony nie zapuszczali się w zagadnienia wiary, między innymi z obawy zdradzenia się z jakimś teologicznym błędem. Poprzestali na mętym rozprawianiu o miłosierdziu, potępiając wszelki gwałt i nadużycia. Wszyscy zgadzali się na jedno, ale nastrój był raczej chłodny.

Następnie Dobry obejrzał pola, pożałował gospodarzy z powodu marnych urodzajów i wyraził zadowolenie, że przynajmniej żyto dało dobry zbiór.

- Po czemu je sprzedajecie? - zapytał.

- Po trzy skudy za funt - rzekł Ezechiel.

- Trzy skudy za funt? Ależ biedacy w Terralbie przymierają głodem, przyjacielu, i nie mogą kupić sobie nawet garstki żyta! Może nie wiecie o tym, że grady poniszczyły plony żyta tam, w dolinie, i że tylko wy jedni możecie ocalić wiele rodzin od głodu?

- Wiemy - rzekł Ezechiel - Właśnie dlatego możemy sprzedawać po dobrej cenie...

- Ależ pomyślcie, jakim dobrodziejstwem byłoby dla tych nieszczęśliwych, gdybyście obniżyli cenę... Pomyślcie, ile możecie zdziałać dobrego...

Stary Ezechiel stanął przed Dobrym ze splecionymi na piersi ramionami i wszyscy hugenoci przybrali tę samą postawę.

- Czynić miłosierdzie, mój bracie - powiedział - to nie znaczy zaraz obniżać ceny.

Dobry, chodząc po ich polach, widział, jak starzy, wychudli na szkielety hugenoci kopią ziemię pod palącym słońcem.

- Mizernie wyglądacie - zagadnął starca z brodą tak długą, że kopiąc obsypywał ją ziemią - chyba niezbyt dobrze się czujecie?

- Tak dobrze, jak może się czuć ktoś, kto kopie dziesięć godzin z rzędu mając siedemdziesiąt lat na karku, a w brzuchu tylko zupę z rzepy.

- To mój krewniak, Adam - wyjaśnił Ezechiel - doskonały robotnik.

- Ależ powinniście już odpoczywać i dobrze się odżywiać, taki stary - ciągnął Dobry, ale Ezechiel odsunął go szorstko na bok.

- My wszyscy tutaj ciężko pracujemy na chleb, mój bracie - oświadczył tonem nie dopuszczającym dyskusji.

Przedtem, zaledwie zsiadłszy z muła, Dobry chciał sam uwiązać swego wierzchowca i poprosił o woreczek obroku, żeby wzmocnić go po męczącej drodze. Ezechiel i jego żona popatrzyli znacząco po sobie: według nich, takiemu mułowi powinna była wystarczyć przygarść dzikiej cykorii. Ale był to właśnie moment gorącego powitania gościa, kazali więc zanieść ten obrok. Teraz jednak stary Ezechiel opamiętał się: niepodobna, żeby taki nędzny szkielet miał zjadać paszę, której i tak mieli niewiele! Toteż, w chwili nieuwagi gościa, zawołał Ezawa i powiedział mu cicho:

- Idź do muła, zabierz mu obrok i daj cokolwiek innego.

- Napar przeciwko astmie?

- Puste kaczany kukurydzy, grochowiinę, co chcesz.

Ezaw poszedł i zdjął woreczek z głowy muła, który poczęstował go kopytem, tak że chłopak dłuższy czas kulał. Jako odszkodowanie schował pozostały obrok, żeby sprzedać go na własny rachunek, i powiedział, że muł wszystko zdążył zjeść.

Słońce już zachodziło, Dobry stał z hugenotami na polu i nic więcej nie mieli sobie do powiedzenia.

- Mamy jeszcze przed sobą dobrą godzinę roboty, gościu - odezwała się żona Ezechiela.

- Więc nie będę dłużej przeszkadzał.

- Szczęśliwej drogi, gościu.

Dobry Medardo odjechał na swoim mule.

- Biedny inwalida wojenny - powiedziała kobieta, kiedy był już daleko. - Iluż ich jest w tych stronach! Biedaczyska!

- Biedaczyska, to prawda - przytaknęli wszyscy krewniacy.

- Głód i zaraza! - ryczał Ezechiel chodząc po polach i wznosząc zaciśnięte pięści na widok partackiej roboty i szkód wywołanych suszą. - Głód i zaraza!

## IX

Często chodziłem rankiem do warsztatu Pietrochioda przyglądać się machinom, jakie pomysłowy majster konstruował. Cieśla żył w coraz cięższych rozterkach i wyrzutach sumienia, od czasu kiedy Dobry zaczął go odwiedzać nocami, wypominając mu ponure cele, do jakich służyły jego wynalazki, i zachęcając go do obmyślenia takich mechanizmów, które w ruch wprawiałyby dobroć, a nie okrucieństwo.

- Więc jakąż to maszynę powinienem zbudować, Mastro Medardo? - pytał Pietrochiodo.

- Zaraz ci to wytłumaczę: mógłbyś na przykład... - I Dobry zaczynał opisywać maszynę, jaką on by zamówił, gdyby był tu panem zamiast swojej drugiej połowy; w objaśnieniach pomagał sobie, kreśląc zawiłe i niejasne rysunki.

Pietrochiodowi wydawało się z początku, że ten mechanizm to ma być rodzaj organów, wydobywałyby najśłodsze, najłagodniejsze dźwięki, i już zabierał się do szukania drzewa odpowiedniego na tuby, aż tu inna rozmowa z Dobrym wywoływała całkowity zamęt w jego umyśle: teraz okazywało się bowiem, że z tub nie mają się wydobywać tony, lecz mąka. Krótko mówiąc, organy miały być organami, a zarazem młynem, który miał mleć mąkę dla biednych, a jeśli możliwe, także i piecem do wypiekania placków. Z każdym dniem Dobry udoskonalał swoją wyimaginowaną maszynę i pokrywał szkicami mnóstwo papieru, ale Pietrochiodo nie mógł ani rusz za nim nadażyć, bo ten organo-młynopiec miał również wyciągać wodę ze studni, oszczędzając pracy osiołkom, a w dodatku miał się poruszać na kołach, żeby obsłużyć większą ilość wiosek, a w dni świąteczne miał być zawieszony w powietrzu, aby łowić w rozpostarte sieci motyle. W umyśle cieśli zaczęło kiełkować podejrzenie, że możliwość budowania dobrych maszyn wykracza poza ludzkie możliwości, a jedyne, które mogą funkcjonować praktycznie i bezbłędnie, to szubienice i narzędzia tortur. Bo w rzeczy samej, ilekroć Zły przedstawił Pietrochiodowi pomysł jakiegoś nowego mechanizmu,

natychmiast majster widział jasno sposób jego wykonania i zabierał się do roboty, każdy szczegół ukazywał mu się w postaci doskonałej i niezastąpionej i po skończeniu pracy wychodziło z tego istne arcydzieło techniki i pomysłowości.

Nieraz nachodziła go dręcząca myśl, że to może w nim samym tkwi zło, które sprawia, że udają mu się tylko narzędzia okrucieństwa. Mimo to nie przestawał obmyślać dalszych narzędzi męki, z właściwym sobie oddaniem i biegłością.

Pewnego dnia zobaczyłem, że pracuje nad jakąś niezwykle szubienicą: biała rama obejmowała ściankę z czarnego drzewa, a sznur, także biały, przechodził przez dwa otwory w ścianie, dokładnie w miejscu, gdzie powinna się znajdować pętla.

- Co to za machina, majstrze? - zapytałem.

- Szubienica do wieszania profilem - wyjaśnił.

- Dla kogoście ją zmajstrowali?

- Dla człowieka, który sam skazuje i sam jest skazańcem. Jedną połową głowy skazuje się na karę śmierci, a drugą połowę wsuwa w stryk i wydaje ostatnie tchnienie. Chętnie bym widział, żeby mu się te dwie połowy pomyliły.

Zrozumiałem, że Zły, słysząc o wciąż wzrastającej popularności swojej dobrej połowy, postanowił ją niezwłocznie unicestwić.

Rzeczywiście wezwał swoich zbirów i powiedział im:

- Jakiś nędzny włóczęga od zbyt dawna wałęsa się po naszych ziemiach siejąc zamęt. Do jutra macie pochwycić wichrzyciela i skończyć z nim.

- Wedle rozkazu, *signoria* - odpowiedzieli i odeszli. Mając tylko jedno oko, Zły nie zauważył, że przy tej odpowiedzi mrugnęli do siebie znacząco.

Trzeba tu dodać, że w tym czasie istniał pewien spisek pałacowy i owi pachołkowie również do niego należeli. Spisek miał na celu uwięzienie i stracenie rządzącej połowy wicehrabiego i oddanie zamku wraz z tytułem drugiej połowie. Dobry nic o tym wszystkim nie wiedział. W szopie na sianie, gdzie sypiał, zbudził się nagle w środku nocy i ujrzał się otoczony zbrojnymi ludźmi.

- Proszę się nie lękać - powiedział ich przywódca. - Wicehrabia posłał nas, abyśmy pana zamordowali, my jednak, dość już mając jego okrutnej tyranii, postanowiliśmy zabić jego, a pana postawić na jego miejsce.

- Cóż słyszę? I uczyniliście to? Pytam: zamordowaliście już wicehrabiego?

- Nie, ale zrobimy to w ciągu ranka.

- Ach, Bogu niech będą dzięki! Nie, nie plamcie się więcej krwią, zbyt wiele już jej przelano. Cóż dobrego mogłoby wyniknąć z władzy zrodzonej ze zbrodni?

- No, więc zamkniemy go w wieży i też będzie spokój.

- Nie podnoście ręki ani na niego, ani na nikogo, zaklinam was! Ja również boleję nad okrucieństwem wicehrabiego; ale nie ma na to innej rady, niż dawać mu budujące przykłady łagodności i cnoty.

- W takim razie musimy zabić was, panie.

- Ach, nie! Mówię wam przecież, że nie macie nikogo zabijać!

- Jakże to zrobić? Albo zabijemy wicehrabiego, albo musimy być mu posłuszni.

- Weźcie ten flakonik. Zawiera odrobinę, ostatnią, jaka mi pozostała, cudownej maści, którą czescy pustelnicy przywrócili mi zdrowie i która nadal oddaje mi cenne usługi, ilekroć przy zmianie pogody moja olbrzymia blizna zaczyna mi dolegać. Zanieście maść wicehrabiemu i powiedzcie mu tylko tyle: to dar od kogoś, kto dobrze wie, co to znaczy mieć wszystkie żyły na końcach zaszyte.

Zbiry zanieśli wicehrabiemu naczynko z maścią, on zaś niezwłocznie skazał ich na powieszenie. Chcąc ocalić towarzyszy, pozostali spiskowcy postanowili podnieść bunt. Ale byli nie dość ostrożni, spisek został odkryty i zatopiony we krwi. Dobry zanosił kwiaty na groby i pocieszał wdowy i sieroty.

Jedna tylko stara Sebastiana nigdy nie dała się wzruszyć dobrocią Dobrego. W swoich miłosiernych wyprawach Dobry zatrzymywał nieraz muła przed chatką piastunki i odwiedzał ją, zawsze serdeczny i troskliwy. Ale ona nigdy nie omieszkała palnąć mu kazania. Może sprawiał to jej przyrodzony instynkt macierzyński, a może

fakt, że starość zaczynała mącić jej myśli, dość że piastunka nie mogła jakoś zdać sobie sprawy z rozdwojenia Medarda: gromiła jedną połowę za winy drugiej, jednej dawała rady, do których tylko ta druga mogłaby się zastosować, i tak dalej.

- No i czemuś uciał głowę kogutowi babki Bigin, biedaczki, co go tylko jednego miała? Takiś duży, a takie paskudne psikusy robisz...

- Ale dlaczego mnie to mówisz, nianiu? Wiesz przecież, że to nie ja zrobiłem...

- A jakże! No, ciekawam bardzo: któż to zrobił?

- Ja. Ale...

- No widzisz!

- Ale nie ten ja...

- E tam, że jestem stara, to już myślisz, że zidiociała? Jak tylko usłyszę o jakimś łotrostwie, zaraz wiem, że to twoja sprawka. I mówię sobie: mogłabym przysiąc, że maczał w tym łapkę Medardo...

- I zawsze się mylisz!

- Mylę się... Wy, młodzi, zawsze mówicie nam, starym, że się mylimy... A wy sami? Podarowałaś swoją kulę staremu Isidorowi...

- Tak, to byłem naprawdę ja...

- I jeszcze się chwalisz? Przydała mu się do grzmocenia żony, biedaczki...

- Mówił, że mu trudno chodzić, bo ma podagrę...

- Udawał! A ty zaraz oddajesz mu swoją kulę... On ją połamał na grzbiecie żony, a ty kuśtykasz wsparty na rozwidlonym kosturze... Bez głowy jesteś, ot co! Zawsze to samo! A wtedy, coś upił grappą byka kuma Bernarda?

- To nie ja...

- A jakże, nie ty! Nie darmo wszyscy mówią: to zawsze on, wicehrabia!

Częste odwiedziny Dobrego w Pratofungo powodowane były nie tylko jego synowskim przywiązaniem do starej piastunki, ale i tym, że w owym czasie gorliwie zajmował się niesieniem pomocy nieszczęśliwym trędowatym. Odporny na zarazę (to

także, jak się zdaje, zawdzięczał tajemnym lekom pustelników), krążył po wiosce, wypytując każdego szczegółowo o jego potrzeby i nie zostawiając nikogo w spokoju, dopóki nie zrobił dla niego wszystkiego, co tylko było w jego mocy. Bardzo często przebiegał na grzbiecie swego muła tam i na powrót drogę między Pratófungo a domkiem doktora Trelawney, skąd przywoził rady i leki. Bo choć doktor nadal nie odważał się zbliżyć do trędowatych, to jednak, za pośrednictwem Dobrego Medarda, zaczynał się nimi interesować.

Ale zamysły mojego wuja szły dalej: on chciał uzdrawiać nie tylko ciała trędowatych, ale również ich dusze. Był ciągle wśród nich, prawiąc im morały, wtykając nos we wszystkie ich osobiste sprawy, wciąż się czymś gorsząc i wygłaszając kazania. Trędowaci ścierpieć go nie mogli. Szczęśliwe, rozwiązłe czasy Pratófungo minęły bezpowrotnie. W obecności tej cieniutkiej figury, sztywno wyprostowanej na swej jedynej nodze, czarno ubranej, uroczystej i szczodrze szafującej moralnymi sentencjami, nikt nie mógł zaznać jakiegokolwiek przyjemności nie narażając się na to, że zostanie z miejsca zgromiony i na domiar złego wyśmiany przez innych. Nawet muzyka, wciąż potępiana jako płocha, rozwiązała i nie odzwierciedlająca zacnych uczuć, obrzydła im, a ich oryginalne instrumenty, porzucone, pokryły się pyłem. Trędowate kobiety, nie znajdując już teraz ujścia w wesołej swawoli, stanęły nagle twarzą w twarz ze swoją straszną chorobą i spędzały wieczory we łzach i rozpaczach. „Z dwóch połów ta dobra jest gorsza od tej złej” - zaczęto mawiać w Pratófungo.

I nie tylko wśród trędowatych uwielbienie dla Dobrego zaczęło przygasać.

- Dobrze jeszcze, że ten pocisk rozszczepił go tylko na dwoje - mówiono - gdyby był w trzech kawałkach, któż wie, co jeszcze przysłoby nam oglądać.

Hugenoci stawiali teraz strażę także i przeciwko niemu, on bowiem wyzbył się już wszelkich wobec nich względów; nachodził ich o każdej porze, śledząc, ile worków ziarna mają w swoich spichrzach, i gromiąc ich za pobieranie nadmiernie wysokich cen, a potem rozpowiadał wszystko po świecie psując im handlowe stosunki.



Tak płynął czas w Terralbie, a nasze uczucia stawały się coraz bardziej ponure i  
zawiłe, gdyż czuliśmy się wszyscy zagubieni pomiędzy złością a cnotą, obu jednak nie-  
ludzkimi.

## X

Nie ma takiej nocy księżycowej, podczas której w duszach złych ludzi przewrotna myśl nie kłębiłaby się na kształt węży, a w duszach miłosiernych - nie rozkwitałyby lilie wyrzeczenia i oddania. Tak to pośród wzgórz Terralby dwie połowy Medarda krążyły targane sprzecznymi namiętnościami.

Powziąwszy w końcu decyzję, każdy swoją, wyruszyli obaj rankiem, by ją zamienić w czyn.

Matka Pamelii, kiedy poszła zaczerpnąć wody, wpadła w zastawioną pułapkę i omal nie utonęła w studni. Gdy trzymając się kurczowo sznura krzyczała głośno: „Ratunku! - w otworze studni, na tle nieba, ujrziała nad sobą postać Złego, który powiedział:

- Chciałem tylko rozmówić się z wami. Oto, co sobie pomyślałem: koło waszej córki Pamelii kręci się jakiś przepołowiony włóczęga. Powinniście go zmusić, żeby ją poślubił. Skompromitował ją, więc jeśli jest szlachcicem, winien jej zadośćuczynienie. Tak sobie pomyślałem; nie żądajcie ode mnie dalszych wyjaśnień.

Ojciec Pamelii niósł pod prasę wór oliwek ze swego drzewa, ale worek był dziurawy i sypiące się oliwki tworzyły na ścieżce nieprzerwany trop. Czując, że ciężar zelżał jakoś, ojciec zrzucił worek z pleców i przekonał się, że jest prawie pusty. Ale jednocześnie zobaczył, że ścieżką idzie za nim Dobry, podnosi upuszczone oliwki i zbiera je w połę płaszcz.

- Szedłem za wami, bo chciałbym z wami pomówić; tak się szczęśliwie składa, że mogłem przy tym uratować wasze oliwki. Oto, co mi leży na sercu. Od dawna już myślę sobie, że moja obecność tutaj, zamiast ulżyć pewnym ludzkim nieszczęściom, jeszcze je pogarsza. Odejdę więc z Terralby. Ale tylko pod warunkiem, że moje odejście przywróci spokój dwom osobom: waszej córce, która sypia w jaskini, chociaż mógłby jej przypaść piękny los, i mojej nieszczęsnej prawej połowie, która nie powinna żyć tak

samotnie. Pamela i wicehrabia powinni połączyć się małżeństwem.

Pamela zajęta była właśnie tresowaniem wiewiórek, kiedy natknęła się na swoją matkę, która udawała, że przyszła do lasu zbierać szyszki.

- Pamelo - rzekła matka - najwyższy czas, żeby ten włóczęga zwany Dobrym ożenił się z tobą.

- Cóż to za pomysł? - zapytała Pamela.

- Skompromitował cię, niechże cię poślubi. Jest tak dobroduszny, że jeśli mu to powiesz, na pewno nie odmówi.

- Ale skądże ci coś podobnego przyszło do głowy?

- Cicho bądź. Gdybyś wiedziała, kto mi to doradził, nie zadawałabyś tyle pytań: Zły we własnej osobie tak powiedział, nasz Jaśnie wielmożny wicehrabia!

- Psiakość! - rzekła Pamela upuszczając wiewiórkę na kolana. - Licho wie, jaki podstęp on przeciw mnie knuje.

Wkrótce potem, właśnie kiedy uczyła się świstać na źdźble trawy, spotkała swego ojca, niby to zbierającego chrust.

- Pamelo - rzekł - pora już, żebyś powiedziała „tak” Złemu wicehrabiemu pod warunkiem, że cię poślubi w kościele.

- To twój własny pomysł czy ktoś ci go podsunął?

- Nie nęci cię zostać wicehrabiną?

- Odpowiedz na moje pytanie.

- Więc dobrze: dowiedz się, że mi to podszeptała najzycziwsza dusza, jaka być może: ten włóczęga, którego zwą Dobrym.

- Tym niech sobie on głowy nie zaprzęta. Zobaczysz, co teraz ja sama sobie obmyślam.

Uganiając się na swym chudym koniu po rozpadlinach, Zły rozmyślał nad swym przebiegłym planem: jeśli Pamela zaślubi Dobrego, według prawa będzie żoną Medarda di Terralba, czyli jego, Złego. W oparciu o to prawo z łatwością odbierze ją

rywalowi, takiemu przecież uległemu i niezbyt bojowemu.

Ale kiedy spotkał Pamelę, powiedziała mu:

- Wicehrabio, zdecydowałam się: jeżeli pan chce, możemy się pobrać.

- Ty i kto? - zapytał wicehrabia.

- Ja i pan. Zamieszkam w zamku i będę wicehrabiną.

Tego się Zły nie spodziewał. „W takim razie - pomyślał - nie potrzeba urządzać całej ten komedii z poślubieniem jej przez moją drugą połowę; po prostu ożenię się z nią i koniec”.

- Owszem, chcę - powiedział. A Pamela:

- Niech pan się porozumie z moim ojcem.

Wkrótce potem Pamela spotkała Dobrego jadącego na swoim mule.

- Medardo - powiedziała - zrozumiałam, że jestem naprawdę w tobie zakochana, więc jeżeli chcesz uczynić mnie szczęśliwą, poproś o moją rękę.

Biedaczysko, który dla jej dobra zdobył się na tak wielkie wyrzeczenie, otworzył usta ze zdumienia. „Ależ, skoro ma być szczęśliwa poślubiając mnie, nie mogę jej nakłaniać, żeby poślubiła innego” - pomyślał i rzekł:

- Droga moja, spieszę przygotować wszystko na tę uroczystość.

- A porozum się z moją mamą, pamiętaj - upominała go.

W całej Terralbie zawrzało na wieść, że Pamela wychodzi za mąż. Jedni mówili, że za tego, inni, że za tamtego. Jej rodzice zdawali się rozmyślnie wszystko jak najbardziej plątać. To pewne, że w zamku porządkowano i ozdabiano wszystko, jak na wielkie święto. Sam wicehrabia sprawił sobie strój z czarnego aksamitu z ogromnymi bufami u rękawów i pantalonów.

Ale i włóczęga pięknie wyczyścił zgrzebłem swego mizernego muła i połatał odzież na łokciach i kolanach. Na wszelki wypadek w kościele wyglansowano wszystkie kandelabry.

Pamela oświadczyła, że wyjdzie z lasu dopiero wtedy, gdy czas będzie stanąć w

weselnym orszaku. Swoje zakupy przedślubne zleciła mnie. Uszyła sobie białą suknię z welonem i szalenie długim trenem, uplotła wianek i przepaskę do sukni z lawendy. A że od welonu zostało jej jeszcze sporo materiału, zrobiła ślubną suknię swojej koczce i drugą swojej kaczkce i uganiała tak po lesie z obiema ulubienicami, aż welon podarł się w strzępy o gałęzie, a tren sukni pozbiierał z leśnych ścieżek wszystkie igły sosnowe i łupiny kasztanów.

Ale w noc poprzedzającą ślub była zamyślona i jakby trochę zalękniona. Siedziała na szczycie bezdrzewnego pagórka z trenem sukni owiniętym dokoła nóg, w przekrzywionym na bakier wianuszku z lawendy, z brodą opartą na rękę, spoglądała na otaczające łąsy i wzdychała.

W tym czasie byłem wciąż przy niej, gdyż miałem jej służyć za pazia razem z Ezawem, który co prawda jakoś się nie pokazywał.

- Za którego wychodzisz, Pamelu? - zapytałem.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Nie wiem, co w ogóle będzie. Czy pójdzie dobrze? Czy pójdzie źle?

W lesie rozlegał się raz po raz to gardłowy okrzyk, to znów westchnienie. To dwaj przepołowieni pretendenci, podnieceni oczekiwaniem, wałęsali się po leśnych bezdrożach otuleni obaj w czarne płaszcze, jeden na chudym koniu, drugi na wyleniałym mule, mrużąc i wzdychając, pograżeni w niespokojnych rojeniach. Koń przeskakiwał rozpadliny i urwiska, muł wdrapywał się cierpliwie na zbocza, i obaj jeźdźcy nigdy się nie stykali.

Świtało już, kiedy galopujący koń zsunawszy się w rozpadlinę okulał; Zły nie zdążył więc na czas na ślub. Muł natomiast kroczył powoli, ale bez wypadku, i Dobry dotarł do kościoła punktualnie, jednocześnie z oblubienicą. Długi tren jej sukni podtrzymywaliśmy obaj z Ezawem, którego zresztą musiałem ciągnąć siłą.

Widząc, że jako oblubieniec zjawiał się tylko Dobry, kuśtykający o kuli, tłum gapiów doznał pewnego zawodu. Ślub odbył się jednak jak należy, młodzi powiedzieli

„tak” i zamienili pierścionki, a ksiądz rzekł: „Medardo di Terralba i Pamela Marcolfi, łączę was węzłem małżeńskim”.

W tejże chwili w głębi nawy ukazał się stukając kulą wicehrabia, jego nowy aksamitny bufiasty strój był nasiąknięty wodą i podarty. Rzekł podniesionym głosem:

- Medardo di Terralba to ja i Pamela jest moją żoną.

Dobry spiesznie przykuśtykał do niego.

- Nie, Medardo, który poślubił Pamelę, to ja.

Zły odrzucił od siebie kulę i chwycił za gardę szpady. Dobremu nic innego nie pozostało, jak uczynić to samo.

- Do broni!

Zły rzucił się z wyciągniętą szpadą, Dobry zasłonił się, ale przy tym obaj runęli na ziemię.

Zrozumieli, że nie sposób się bić, wspierając się na jednej nodze. Trzeba było odłożyć pojedynek, by móc się do niego lepiej przygotować.

- A ja, wiecie, co zrobię? - oświadczyła Pamela. - Wracam do lasu.

Wybiegła z kościoła, już bez paziów podtrzymujących tren. Na moście spotkała kozę i kaczkę, które tam na nią czekały, i podreptały dalej u jej boku.

Pojedynek miał się odbyć nazajutrz o świcie, na Polanie Mniszek. Mastro Pietrochiodo wymyślił specjalny przyrząd, coś w rodzaju nóżki cyrkla, który, przytwierdzony do pasa każdego z przepołowionych, pozwalał im stać prosto i zmieniać pozycję, a także przechylać się w tył i w przód, mając ową sztuczną nogę mocno osadzoną w ziemi. Trędowaty Galateo, który dawniej, jeszcze jako zdrowy, był szlachcicem, miał pełnić rolę sędziego; sekundantami Złego byli ojciec Pameli i dowódca straży, sekundantami Dobrego - dwóch hugenotów. Doktor Trelawney miał zapewnić pomoc lekarską; zjawił się też z całym tobołkiem bandaży i gąsiorem balsamu, jak gdyby miał opatrywać uczestników dużej bitwy. Ja na tym skorzystałem, bo pomagając mu dźwigać to wszystko, miałem możliwość przyjrzeć się starciu.

Nastał zielonkawy świt; dwaj cieniutcy przeciwnicy stali na łące w gotowości, dzierżąc szpady w dłoni. Trędowny zadał w róg; był to sygnał rozpoczęcia walki. Niebo zadrgało jak naciągnięta błona, susły w norkach wbiły w ziemię pazurki, sroki, nie wyjmując głowy spod skrzydła, wrywały sobie po pióreczku sprawiając sobie ból, dżdżownica pożarła własny ogon, zmija ukąsiła się własnymi zębami; osa złamała sobie żądło na kamieniu - każde stworzenie zwracało się przeciwko sobie, szron na kamieniach zamarzał na lód, mchy zmieniały się w kamienie, a kamienie w mchy, suche liście stawały się ziemią, gęsta, twarda żywica bez litości uśmiercała drzewa. I człowiek ruszył zajadle przeciwko sobie, mając obie ręce uzbrojone w szpady.

Raz jeszcze Pietrochiodo okazał się prawdziwym mistrzem: nóżki cyrkli zakreślały na łące równe koła, szermierze rzucali się do ataku, uskakiwali i nacierali twardo, stosowali parady i finty. Nie dotykali się jednak. Przy każdym sztychu ostrze szpady zdawało się kierować nieomylnie w luźno powiewający płaszcz przeciwnika, obaj z uporem nacierali na tę stronę, gdzie nic nie było, czyli na tę, gdzie on sam, nacierający, powinien by się znajdować. Niewątpliwie, gdyby w pojedynku na miejscu każdej połowy szermierza był cały, zadawaliby sobie nawzajem mnóstwo ran. Zły walczył z okrutną zajadłością, nigdy jednak nie udawało mu się skierować broni tam, gdzie wróg jego był rzeczywiście; Dobry wykazywał poprawne mistrzostwo mańkuta, ale również nie osiągnął nic oprócz pocięcia na kawałki płaszcz wicehrabiego. W pewnej chwili garda zwarła się z gardą: nóżki cyrkla tkwiły w ziemi jak kolce brony. Zły oderwał się nagłym uskokiem, stracił równowagę i wałac się już niemal na ziemię, zdołał wymierzyć straszliwy cios - właściwie nie w ciało przeciwnika, ale tuż obok: cięcie równoległe do linii, na której urywało się ciało Dobrego, a tak jej bliskie, że w pierwszej chwili niepodobna było osądzić, czy dotknęło lewej czy prawej strony owej linii. Ale zaraz ujrzeliśmy, jak ciało pod płaszczem czerwieni się krwią od czubka głowy aż po nasadę nogi i trudno było wątpić dłużej. Dobry osunął się na ziemię, ale padając, ostatnim zamachem, szerokim i jak gdyby litosnym, przesunął ostrzem swojej szpady

po krawędzi ciała rywała, od głowy aż do dołu brzucha, dokładnie pomiędzy punktem, w którym ciało Złego już nie istniało, a punktem, w którym zaczynało istnieć. Teraz ciało Złego także bluznęło krwią na całej przestrzeni starej blizny: ostrza obu szpad przecięły wszystkie końce żył i otwały z obu stron ranę, która ich niegdyś rozdzieliła. Teraz leżeli obaj na trawie, a krew ich, która niegdyś była ich wspólną krwią, znowu mieszała się, wsiąkając w łąkę.

Pochłonięty tym straszliwym widokiem nie zwracałem uwagi na Trelawneya. Nagle spostrzegłem, że doktor skacze z radości na swoich cienkich nóżkach konika polnego, klaszcze w ręce i wykrzykuje:

- Uratowany! Pozwólcie teraz działać mnie!

Pół godziny później nieśliśmy na noszach do zamku jednego tylko rannego. Zły i Dobry zostali ściśle z sobą złączeni, ciasno owinięci bandażami. Doktor starannie pozszywał końce wszystkich wewnętrzności i arterii jednej i drugiej połowy, następnie zużył chyba z kilometr bandażu owijając ich tak ciasno i dokładnie, że wydawali się nie tyle jednym rannym, ile jedną zabalsamowaną starożytną mumią.

Przez szereg dni i nocy wuj znajdował się między życiem a śmiercią. Pewnego ranka, wpatrując się w tę twarz, której środkiem przebiegała cienka czerwona linia od czoła aż do brody i dalej wzdłuż szyi, piastunka Sebastiana szepnęła: - Porusza się.

Rzeczywiście, przez twarz mego wuja przemknęło drganie, i doktor rozplakał się z radości widząc, jak drganie to przechodzi z jednego policzka na drugi.

Na koniec ranny otworzył oczy, rozchylił wargi. Początkowo wyraz jego twarzy był dziwny: jedno oko patrzyło groźnie, drugie łagodnie, jedna strona czoła zmarszczona była ponuro, druga gładka i pogodna, jedna połowa ust uśmiechała się, podczas kiedy, druga zgrzytała zębami. Ale po trochu symetria powróciła.

Doktor Trelawney orzekł:

- Jest uleczony.

A Pamela wykrzyknęła:



- Nareszcie będę miała męża ze wszystkim, co trzeba!

Tak to mój wuj Medardo stał się znowu całkowitym człowiekiem, ani złym, ani dobrym, mieszaniną złego i dobrego, czyli na pozór niewiele się różnił od tego, jakim był, zanim go przepołowiono. Ale posiadał teraz doświadczenie obu swoich połów, na nowo stopionych razem, musiał zatem teraz być bardzo mądry. Żył więc szczęśliwie, miał dużo dzieci i rządził dobrze i sprawiedliwie. W naszym życiu także zaszły zmiany na lepsze. Być może, spodziewano się, że skoro wicehrabia jest znowu cały, nastanie epoka jakiejś bajecznej szczęśliwości. Ale, rzecz jasna, całkowity wicehrabia to nie dosyć, żeby świat stał się raptem doskonały.

Teraz Pietrochiodo nie budował już szubienic, tylko młyny, a Trelawney porzucił błędne ogniki, aby zająć się odrą i różą. Ja natomiast, pośród całego tego zapału w dopełnianiu, czułem się coraz smutniejszy i coraz bardziej mi było czegoś brak. Bywa, że człowiek czuje się niepełny, a jest po prostu tylko młody.

Stałem już u progu lat młodzieńczych, a wciąż jeszcze lubiłem chować się pośród korzeni wielkich drzew leśnych i opowiadać sobie fantastyczne historie. Igła sosnowa zmieniała mi się w rycerza, damę czy błazna; poruszałem nią, wpatrywałem się w nią i snułem w myśli nie kończące się historie. Wreszcie ogarniał mnie wstyd z powodu takiej dziecinady, zrywałem się i uciekałem.

Aż nadszedł dzień, kiedy nawet doktor Trelawney mnie opuścił. Pewnego ranka do naszej zatoki wpłynęła flota przystrojona chorągiewkami, łopocząca banderami angielskimi, i stanęła na redzie. Cała Terralba wyległa na wybrzeże, żeby się przyglądać, ja tylko jeden nic o tym nie wiedziałem. Wzdłuż relingów, na masztach i rejach roило się od marynarzy, którzy pokazywali z daleka ananasy i żółwie i rozwijali arkusze papieru z wypisanymi na nich angielskimi i łacińskimi maksymami. Stojąc na mostku kapitańskim, w otoczeniu oficerów w trójgraniastych kapeluszach i peruczkach, kapitan Cook obserwował wybrzeże przez lunetę i zaledwie dojrzał w tłumie doktora Trelawney, wydał rozkaz, aby przekazano mu za pomocą sygnalizacyjnych

chorągiewek polecenie: „Proszę przybyć niezwłocznie na pokład, doktorze, będziemy dalej grać w oczko”.

Doktor pożegnał wszystkich w Terralbie i opuścił ląd. Marynarze zaintonowali hymn „O, Australio!” i doktor został wciągnięty na pokład siedząc okrakiem na beczce wina cancarone. Zaraz potem okręty podniosły kotwice.

Ja jeden nic z tego nie widziałem. Siedziałem ukryty w lesie i opowiadałem sobie bajki. Kiedy się dowiedziałem, było już za późno. Popędziłem na wybrzeże wołając:

- Doktorze! Doktorze Trelawney! Proszę mnie zabrać z sobą! Nie może mnie pan tu zostawić, doktorze!

Ale okręty zniknęły już na widnokręgu, ja zaś zostałem tu, w tym naszym świecie pełnym odpowiedzialności i błędnych ogników.